Rok VI. Nr. 12. Grudzień 1900.

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

miesięcznik polityczny i społeczny,

wychodzi w drugiej połowie każdego miesiąca.

TREŚĆ:

WARUNKI PRENUMERATY:

	rocznie:	półrocznie:
W monarchii austr.-węgr.	8 koron,	4 korony.
„ ces. niemieckiem	8 marek,	4 marki.
„ Francyi, Szwajcaryi, Włoszech	12 frank.,	6 frank.
W Anglii	10 szyling.,	5 szyling
„ Stanach Zjednocz. Ameryki półn.	2 dol. 50 c.,	1 dol. 25 c.
„ Królestw. polskiem i ces. rosyjskiem	8 rubli	4 ruble.

(Nr. pojedynczy 80 gr. austr. 40 ct.)

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:

Lwów, ul. Koralnicka 6 (Lemberg, Austria).

Rok VI. Grudzień 1900 r. Nr. 12.

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

miesięcznik polityczny i społeczny

pod kierownictwem J. L. Popławskiego

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Koralnicka, 6.

WYBORY GALICYJSKIE.

W chwili, gdy numer pisma naszego wyjdzie z druku, wybory w Galicyi będą już ukończone w tych kuryach — powszechnego głosowania, wiejskiej i miejskiej — które przedstawiają, właściwie przedstawiać powinny opinię szerokich warstw społeczeństwa. Możemy więc już z zupełną swobodą rozpatrzeć niewątpliwe ich rezultaty i ocenić je krytycznie, jakkolwiek znamy dopiero wynik wyborów z kuryi piątej i czwartej. Dotychczas krępowaliśmy się w wypowiedzeniu naszego zdania różnymi względnmi taktycznymi, między innymi obawą, żeby krytyka surowa nie miała nawet pozoru chęci zaszkodzenia przed wyborami tym stronnictwom opozycyjnym, z któremi solidaryzujemy się w pewnej mierze, lub dla których mamy mniej lub więcej wyraźne sympatye. Jakkolwiek bowiem pismo nasze nie liczy wielu czytelników w Galicyi, mamy jednak wśród inteligencyi i nawet w sferze ludowej szczupłą gromadkę ludzi, ściśle związanych z nami wspólnością dążeń i poglądów politycznych.

Ci ludzie, zarówno jak czytelnicy *Przeglądu wszechpolskiego* w innych zaborach, domagali się nieraz, żebyśmy, nie licząc się z żadnymi względami taktycznymi, wypowiadali śmiało i szczerze nasze zdanie o sprawach galicyjskich i istniejących tu stronnictwach. Życzeniom tym czyniliśmy zadość w miarę możności, narażając się nawet czasem na zarzut zrywania solidarności ze stronnictwami, przyjmującemi punkty zasadnicze naszego programu demokratyczno-narodowego. Sądziliśmy jednak, że w przeddzień wyborów, które mogły wywrzeć wpływ decydujący na życie polityczne Galicyi, krytyka publicystyczna działalności blizkich nam stronnictw powinna być bardzo powściągliwą.

Obecnie względy te już nas nie obowiązują, odzyskujemy zupełną swobodę głosu i nadal bez wahania korzystać z niej

będziemy, chociażby krytykabyła dotkliwą i nasza przykrą dla ludzi i kół nam blizkich.

Teraz już widocznym, niewątpliwem rezultatem praktycznym dokonanych świeżo wyborów jest przegrana stronnictw opozyzycyjnych, ma się rozumieć, stronnictw demokratycznych, tych zwłaszcza, które szły solidarnie przeciw Kołu polskiemu i jego polityce. Walka została właściwie już rozegraną w piątej kuryi, wysiłki rozpaczliwe w kuryi czwartej i nawet w trzeciej mogą osiągnąć ten tylko rezultat, że klęska nie będzie zupełną.

Stronnictwo ludowe straciło w piątej kuryi dwa mandaty z których jeden nie tak dawno zdobył jeżeli nie najwybitniejszy to najgłośniejszy i najenergiczniejszy jego przedstawiciel, p. Stapiński. W innych okręgach kandydaci ludowi, ci nawet, których wybór na kilka dni przed tem *Kuryer lwowski* uważał za zupełnie pewny, zyskali nieznaczną, czasem nawet śmiesznie małą liczbę głosów. Kandydat socyalistów w Krakowie, p. Daszyński, jeżeli nie polityk w wyższym stylu, to niewątpliwie świetny agitator polityczny i wyborny mówca ludowy, otrzymał teraz o 8.000 głosów mniej, niż przed trzema laty. Prawda, że i głosujących mniej było o taką liczbę, ale przeciwnicy p. Daszyńskiego zdobyli znacznie więcej głosów, niż poprzednio. We Lwowie kandydat socyalistów nie uzyskał nawet jednej czwartej głosów, pokonał go odrazu p. Breiter, nie mający żadnej wyraźnej barwy politycznej, a kandydat katolicki, nieznany nikomu robotnik, o mało mu nie dorównał popularnością. Jedyny w tej kuryi kandydat demokratyczny p. Doboszyński przeszedł dlatego tylko, że był zarazem jedynym kandydatem polskim przeciw socyaliście Rusinowi i wskutek tego uzyskał poparcie Komitetu centralnego.

Nie ulega wątpliwości, że ludowcy, chociażby zdobyli kilka nawet mandatów w kuryi czwartej, nie powetują już poniesionej klęski, ani ci demokraci, którzy zerwali z komitetem centralnym i śmiało wystąpili przeciw Kołu polskiemu nie odniosą zwycięstwa w kuryi miejskiej, przeciwnie, można raczej przypuszczać że będą stanowczo pobici. Właściwie dziś już są pokonanymi, bo w wielu okręgach nie postawili wcale kandydatów, niektórzy zaś z nich nie ubiegają się wcale o mandaty. Dziś już nawet wiedeńskie dzienniki zaznaczają z zupełną pewnością, że Koło polskie wyjdzie z wyborów silniejszem, niż było, nietylko dlatego, że pozbyło się najzawziętszych przeciwników i że prawdopodobnie przyciągnie do swej organizacyi niektóre grupy, dotychczas opozycyjne, lub przynajmniej pojedyńczych posłów, którzy do niego nie należeli.

Stojałowczycy utrzymali mandaty, na ogół nawet jeden zyskali, ale Stojałowski, który dla bezpieczeństwa stawał w dwóch okręgach, w żadnym nie przeszedł, chociaż swoim zwyczajem zręcznie lawirował, obiecując, że wstąpi do Koła polskiego.

Wreszcie nowo-utworzone stronnictwo antysemickie przeprowadziło dwóch posłów, którzy wstąpią zresztą do Koła polskiego. To samo zrobią zapewne stojałowczycy, trzej zaś włościańscy posłowie stronnictwa ludowego, jeżeli nie pójdą za ich przykładem, zostaną w Wiedniu odosobnieni i bezradni zupełnie, wytworzenie bowiem klubu opozycyjnego wobec dziś już niewątpliwej porażki demokracyi niezależnej nie dojdzie chyba do skutku.

Organy stronnictw zainteresowanych będą zmniejszały doniosłość klęski, operując liczbami zdobytych bądź co bądź mandatów, oddanych głosów, rozpisując się o nadużyciach wyborczych o nacisku władz rządowych itd. Zostawmy ich przy tych skargach i przy tych złudzeniach, „dla podniesienia ducha“ szczerze lub wykrętnie podtrzymywanych, i przyjrzyjmy się rzeczywistości chłodno i spokojnie, bez natrząsania się nad pokonanymi, ale i „bez łez i litości dla zwyciężonych“ — z własnej winy.

Wprzód jednak zaznaczmy nawiasowo, że złudzenia naiwne i obawa spojrzenia w oczy rzeczywistości, niezdolność do trzeźwej oceny stosunków istniejących — przyczyniły się w znacznej mierze do porażki stronnictw opozycyjnych. Kandydatury, traktowane w organach tych stronnictw jako humorystyczne, uzyskały znaczną, często nawet imponującą liczbę głosów, natomiast kandydaci, którym niechybnie wróżono zwycięztwo, dostawali jakby na żarty 8, 10, 15 głosów itp.

Skonfiskowano.

A przegrana stronnictw opozycyj

nych nie na stracie kilku mandatów polega, lecz na tem, przedewszystkiem, że nie umiały sformułować programu, któryby pociągnął za sobą masy ludu wiejskiego i miejskiego i liczny zastęp inteligencyi, że polityce stronnictw rządzących nie przeciwstawiły bodaj zarysu innej polityki, że walce, którą komitetowi centralnemu i Kołu polskiemu wypowiedziały, nadano charakter nie zasadniczy ale czysto formalny.

Hasła: »precz z Komitetem centralnym», nawet precz z solidarnością Koła polskiego" mogłyby być niewątpliwie dobremi hasłami walki wyborczej, ale wtedy, gdyby za niemi stał wyraźnie sformułowany, obejmujący szeroki zakres stosunków politycznych i społeczno ekonomicznych i sięgający do ich głębi program. Takiego programu żadne ze stronnictw opozycyjnych nie miało, ani wszystkie razem. W programach stronnictwa ludowego i demokratycznego znajdujemy żądania bardzo rozsądne, bardzo pożyteczne, ale oba te programy grzeszą oportunizmem, stoją na gruncie stosunków istniejących i poprawy ich w tych lub owych szczegółach. ale zawierają zasadniczą sprzeczność pomiędzy tem, do czego stronnictwa te dążą lub chcą dążyć, a pomiędzy tem, czego żądają. Równie oportunistycznym a w dodatku zaprawionym doktrynerstwem, co skazuje go w praktyce na zupełną bezpłodność, jest program socyalistów. Najbardziej zasadniczym i — w pewnem rozumieniu — najbardziej radykalnym jest program chrześcijańsko-społeczny ks. Stojałowskiego, ale zarówno charakter osobisty jego twórcy, jak taktyka wykrętna, której używa, odejmują temu programowi wszelką wartość.

Prasa demokratyczna i wogóle opozycyjna nieraz bardzo stanowczo i ostro a słusznie zarzucała stronnictwu rrządzącemu, że jego polityka samolubna i krótkowzroczna doprowadziła kraj do upadku ekonomicznego i rozstroju stosunków społecznych, do utraty znaczenia politycznego, jakie do niedawna Polacy mieli w Austryi, potępiała konserwatystów, że nie widzą i nawet nie chcą widzieć przepaści, ku której kraj się stacza. W tym akcie oskarżenia, z coraz to nowymi dodatkami wnoszonym przeciw istniejącemu stanowi rzeczy, sporo jest pesymistycznej, właściwej wszelkiej opozycyi przesady, ale tymbardziej można się było spodziewać, że przeciwnicy stronnictwa rządzącego, którzy jasno widzą i trzeźwo oceniają groźne istotnie położenie kraju, w logicznem następstwie, po wygłoszeniu słusznych żalów i uzasadnionych oskarżeń, wystąpią z programem już nie sanacyi tych lub owych stosunków, naprawy tych lub owych urządzeń, ale radykalnego prze-

obrażenia całego zakresu życia publicznego. Nie dosyć na tem, takie przeobrażenie dokonanem być może tylko pod wpływem idej, mogących poruszyć masy, wyrwać z apatyi inteligencyę, natchnąć ją zapałem i poświęceniem, wiarą w zwycięztwo sprawy, której ma służyć, i przeświadczeniem, że ten przewrót w stosunkach politycznych i społecznych, jakiego trzeba dokonać, oczyści atmosferę życia publicznego, pchnie sprawę rozwoju naszego na nowe tory, ozdrowi i ożywi ducha narodu. Słyszeliśmy i czytaliśmy nieraz, że społeczeństwo polskie w Galicyi żyje w chwili przełomu, ale właśnie w takiej chwili są potrzebne programy radykalne, t. j. sięgające do głębi spraw i do głębi dusz ludzkich, potrzebne są wielkie hasła ideowe... — i wielcy ludzie.

Ci ostatni nie przychodzą na zawołanie w gotowym rynsztunku powagi i popularności. Nie ma ich dziś w Galicyi na widowni życia publicznego, ale można się i bez nich obyć. Wystarczyła by gromada nieliczna ludzi rozumnych i prawych, ofiarnych i energicznych, solidarnych ideowo i pojmujących ważność chwili, posiadających nietylko wykształcenie ale i przyrodzony zmysł polityczny, wiedzących czego chcą i w jaki sposób dążenia swe i ideały wcielić mogą w życie. Wystarczyłaby garść takich ludzi, którzy byliby raczej reformatorami niż politykami zawodowymi, czyli „politykanami“ jak mówią Amerykanie, a tymbardziej agitatorami lub „macherami“ politycznymi.

Niestety, nie ma w Galicyi ani odpowiednich ludzi, lub jeżeli są, to ich nie widać w życiu publicznem, ani odpowiedniego ruchu ideowego wśród inteligencyi, ani żadnych innych czyników, koniecznych nietylko do sformułowania, bo to nie wystarcza, ale i do wprowadzenia w życie programu zasadniczej naprawy, właściwiej mówiąc, zmiany stosunków politycznych i społecznych.

Taka zmiana nie odbywa się w jednej chwili, żaden program jej odrazu nie wytworzy, musi być ona wynikiem długiej nieraz i ciężkiej ewolucyi pojęć i stosunków publicznych. Ale program powinien uświadamiać kierunek dążeń tej ewolucyi, wykreślać jej drogi, wskazywać środki, które przebieg procesu przyspieszają, formułować dokładnie te interesy i potrzeby społeczeństwa, duchowe i materyalne, które jej za punkt wyjścia służą, jej podstawę stanowią.

Zaznaczaliśmy już wyżej charakter oportunistyczny programów galicyjskich stronnictw opozycyjnych. Ma się rozumieć, te programy nie mogą tchnąć w masy zapału, który do walki żołnierzy prowadzi, nie mogą z pospolitych Polaków od biurka, od

lady kupieckiej, od warsztatu czy od roli, zrobić bohaterów, ofiarnie poświęcających swój interes osobisty na rzecz publicznego, ba, nie mogą ich nawet skłonić do gorliwego oddawania głosów na rzecz kandydatów demokratycznych tego lub owego odcienia. Przeciwnie, swojem umiarkowaniem, swoją płytką praktycznością, swoją pospolitością szarą, swoją ograniczonością potęgują tylko zniechęcenie do wszelkiej polityki, coraz bardzie rozpowszechniające się wśród inteligencyi galicyjskiej.

Bo, doprawdy, czyż ludzie rozsądni, interesujący się sprawami publicznemi, ale nie oddani im zawodowo, ci ludzie zwyczajni, którzy masę inteligencyi i półinteligencyi stanowią i opinię w pewnej mierze tworzą, którzy z czytania wymownych dowodzeń i ze spostrzeżeń własnych doszli do przekonania, że położenie kraju jest opłakane, że stosunki polityczne fatalnie się pogmatwały, że w stosunkaach społecznych panuje rozstrój zupełny, że znamienną właściwością stosunków ekonomicznych jest bieda powszechna, wynikająca ze skrępowania sił wytwórczych i rozpętania wyzysku, że poczucie patryotyczne słabnie a poziom życia umysłowego się obniża — czy ci ludzie mogą uwierzyć i przejąć się tą wiarą, że z nieładu i nędzy, z upadku i poniżenia wyprowadzić nas zdoła zmiana lub poprawa tej czy owej ustawy, chociażby w praktyce istotnie bardzo szkodliwej, okiełznanie samowoli starostów i wogóle urzędników politycznych, poskromienie nadużyć weterynarzy, regulacya potoków, podwyższenie płac nauczycielskich, lub chociażby powiększenie liczby szkół, połączenie obszarów dworskich z gminami, zniesienie lub przekształcenie rad powiatowych, pomnożenie funduszów i wyjednanie zasiłków państwowych na szkoły zawodowe i popieranie przemysłu, wreszcie reforma wyborcza w duchu demokratycznym — i nakoniec — zaprowadzenie języka polskiego w wewnętrznej służbie pocztowej, w żandarmeryi i t. d.

Pominęliśmy wiele jeszcze postulatów, żaden z nich jednak nie wystrzela po nad poziom tych skromnych i rozsądnych, tych pożytecznych środków. Nie wątpimy, że gdyby każdy z nich pojedyńczo a zwłaszcza wszystkie razem weszły w życie, w stosunkach galicyjskich zaszła by korzystna zmiana. Ale takie programy są właściwe w warunkach normalnych nie zaś w chwilach przełomowych, z takimi programami mogą długie lata żyć i prowadzić spokojną, unormowaną walkę parlamentarną stronnictwa, porządnie zorganizowane, opierające się na masie obywateli spokojnych, zrównoważonych, świadomych swych praw i obowiązków.

Już ten fakt, że takie postulaty mogły stać się hasłami zaciętej walki, dowodzi anormalności stosunków życia publicznego Galicyi. Od podstaw tego życia, z nizin społecznych podnosi się ferment burzliwy. Przesilenie państwowe komplikuje grozę istniejącego stanu rzeczy. Wszystkie wiązania porządku społecznego i politycznego osłabione, podwaliny dobrobytu i wogóle życia ekonomicznego podkopane. W nieładzie, w rozterce, w waśni, w niezadowoleniu powszechnem szukać trzeba podstaw dla nowej, twórczej pracy politycznej i społeczno - ekonomicznej, trzeba szukać odpowiedniego materyału na podwaliny i wiązania wielkiej budowy życia publicznego. Do takiej roboty środki, w programach demokratycznych zalecane, nie wystarczają.

Prawda, inteligencya galicyjska w masie swej jest apatyczną, przygnębioną, bęzradną, prawda, że w nią przedewszystkiem, jak zaznaczyła *Nowa Reforma*, trzeba tchnąć ducha obywatelskiego i do życia publicznego ją wdrożyć. Nie dziwimy się jej jednak, że pozostała obojętną w walce, w której na jej poparcie liczono, że nie wyrwały ją z bierności hasła stronnictw opozycyjnych.

Ostatecznie, jeżeli nie wszystko, to znaczną część tego, co programy tych stronnictw zawierają, możnaby osiągnąć nie bez oporu obozu zachowawczego, ale bez szczególnie zaciętej z nim walki, do której inteligencya galicyjska, przeważnie zależna bezpośrednio lub pośrednio od sfer rządzących, musiałaby mieć pobudki bardzo silne.

Reformy najczęściej drobne lub nawet bardzo doniosłe jak np. reforma wyborcza, ale pozbawione myśli przewodniej, która by je ze sobą wiązała i któraby im znaczenie ideowe nadawała,

Skonfiskowano

— oto treść programu »skoncentrowanej«, jak ją przeciwnicy nazywają, opozycyi galicyjskiej. Nie ma w tych programach mowy o takich zadaniach, które wymagają samodzielnej inicyatywy społeczeństwa, a więc takich, które jedynie mogą szersze warstwy pociągnąć, żywiej zainteresować.

Wybierajcie na posłów — mówią stronnictwa ludowe — takich mężów, którzy z ludu pochodzą i z nim, a zwłaszcza takich, którzy są dla niego życzliwi, jego potrzeby znają, nad jego nędzą i upośledzeniem ubolewają, którzy w Wiedniu będą wnosić wszelkie interpelacye z powodu krzywd mu wyrządzanych i przeszkadzać uchwalaniu ustaw, dla niego szkodliwych.

Wybierajcie na posłów — mówią inteligentni demokraci — ludzi światłych i rozumnych, dobrych patryotów, którzy politykę

Koła polskiego wprowadzą na właściwe tory, odzyskają wpływ utracony na sprawy państwa, właściwie na wysokie sfery urzędowe, którzy postarają się o ustawy i zarządzenia, korzystne dla rozwoju życia ekonomicznego Galicyi, o rozszerzenie zakresu autonomii krajowej i praw obywatelskich, którzy w działalności swej rządzić się będą »zdrowym egoizmem narodowym«.

»Zdrowy egoizm narodowy«, to jedyne szerszego znaczenia hasło, rzucone w programach przedwyborczych, ale bez wyjaśnień, bez konsekwencyi, z niego wypływających, w dodatku, zdaje się, pojmowane ciasno i utylitarnie, jako wyzyskiwanie rządu na rzecz kraju.

Niedawno jeszcze rzucono opinii publicznej hasło, z którego, zdawało się, skorzystać chciał ale nie umiał pewien odłam konserwatystów, a które powinien był podjąć obóz demokratyczny, oczyścić z domieszek słowiańskich, uzupełnić i rozwinąć.

Hasłem tem była: walka z przewagą niemczyzny w Austryi, przekształcenie ustroju państwowego w duchu federalistyczno-autonomicznym, a przedewszystkiem uzyskanie możliwie najszerszej autonomii Galicyi, gwarantującej odrębność i samodzielność narodową.

Takie hasło programowe, gdyby nawet na razie żadnych rezultatów realnych nie osiągnięto, poruszyłoby opinię publiczną, pociągnęło za sobą znaczny zastęp inteligencyi, znalazłoby oddźwięk w masie ludowej, zwłaszcza gdyby było jasno i szczegółowo, ze wszystkiemi jego konsekwencyami sformułowane, a przedewszystkiem przyczyniłoby się zarówno wśród inteligencyi jak wśród ludu do uświadomienia i określenia zadań polityki narodowej, polityki polskiej, których w Galicyi nie rozumiemy dziś już wcale.

Niestety, demokraci galicyjscy, ci nawet, którzy z ludu wyszli, ale kształcili się i wychowali w atmosferze, wytworzonej przez inteligencyę biurokratyczną, przesiąkniętej formalizmem urzędowym — takich haseł nie rozumieją. Ich myśl krąży w ciasnym zakresie ustaw i nadużyć przeciw ustawom i po za te szranki nie wybiega, Oni nie wiedzą nawet, że prawdziwa demokracya wymaga redukowania ustaw do najmniejszej ich liczby, nadawania im najprostszej formy, do usuwania wszelkiej reglamentacyi, która im jest ścislejszą i konsekwentniejszą, tym właśnie szkodliwszą. Prawdziwa demokracya żąda, żeby lud sam rządził sobą zupełnie swobodnie, żeby załatwiał bezpośrednio najważniejsze swoje sprawy we wszystkich sferach działalności pu-

blicznej. Prawdziwa demokracya rozumieć musi, że rozszerzenie zakresu samodzielności politycznej i społecznej ludu jest ściśle związanem ze wzmocnieniem i utrwaleniem prawnem odrębności narodowej.

Programy stronnictw opozycyjnych nie mogły pociągnąć ani inteligencyi, ani mas ludowych. Te drugie zresztą, jak ostatnie wybory raz jeszcze stwierdziły, są politycznie bardzo jeszcze niedojrzałe, czemu zresztą dziwić się nie można, bo dla ich wywykształcenia i wyrobienia politycznego nic prawie nie uczyniono. Najpopularniejsza bowiem w Galicyi forma uświadamiania politycznego ludu za pomocą wieców i wogóle agitacyi jest zupełnie niewłaściwą ze względu na nizki poziom umysłowy tego ludu. Skuteczną może być, i to w pewnych jedynie okolicznościach, dla zdobywania mandatów, ale wywołuje już reakcyę wśród samego ludu, widzącego coraz jaśniej bezpłodność „ujadania", jak pewien światły włościanin nazywa agitacyę na wiecach w liście do nas pisanym.

Ruch polityczny może jednak pociągnąć i inteligencyę i masy ludowe, nie mając na razie sformułowanego programu, może być wyładowaniem po prostu dążeń żywiołowych, na wpół świadomych. Wtedy jednak muszą stać na jego czele wybitni działacze polityczni lub wogóle ludzie, imponujący masom swoją indywidualnością.

Takich ludzi wybitnych stronnictwa opozycyjne w Galicyi nie mają. Wśród demokratów niezależnych znalazłoby się kilku ludzi, politycznie wykształconych, rozumnych, zręcznych, więcej może nawet, niż w obozie zachowawczym i w lepszym gatunku. Ale stronnictwa rządzące, ustalone, zorganizowane, mogą obywać się bez programów i bez wybitnych ludzi, te zaś, które są na dorobku, mieć ich muszą, jeżeli chcą zwyciężać. Jeden z tych demokratów, Romanowicz szeroką inteligencyą, wykształceniem, świetną wymową, uczuciem szczerze polskiem, znajomością stosunków nietylko krajowych ale i narodowych, ma odpowiednie kwalifikacye. Ale jest on niepowodzeniami jeżeli nie zgnębiony to sterany, zresztą nie posiada widocznie odpowiednich właściwości charakteru i usposobienia, skoro pomimo świetnych kwalifikacyi stanowiska przewódcy stronnictwa nie zdobył. A nie zdobywa się już takiego stanowiska, gdy szósty krzyżyk dobiega, chyba, że się idzie z gromadą ludzi, którzy, biorąc przebojem pozycye polityczne, potrzebują doświadczonego wodza. Inni, jak pp. Rotter, Rutowski.... mają zapewne więcej rozumu, znajomości spraw,

talentu politycznego niż ci, którzy ton życiu politycznemu Galicyi nadają, ale nie są to ludzie, prowadzący społeczeństwo na nowe tory.

Niektórym się zdawało, że p. Daszyński będzie takim politykiem w stylu reformatora. Ale już sam specyalny charakter stronnictwa, do którego należy, uniemożliwia mu objęcie roli przewódcy ruchu, mającego charakter ogólniejszy.

Pomijając ks. Stojałowskiego, niezdolnego do tej roli ze względów osobistych, w stronnictwach ludowych nie widzimy ani jednego nietylko wybitnego człowieka, ale nawet zdolnego do poważnej działalności politycznej Ma się rozumieć, nie mówimy tu o włościanach, między którymi taki np. Bojko inteligencyą wrodzoną, polotem wyobraźni, głębią uczucia stanowi indywidualność wysokiego typu — ale którzy z innych powodów przewódcami jakiegoś ruchu szerszego być nie mogą. P. Stapiński jest może zręcznym agitatorem, gdy ktoś inny nim kieruje, mający dosyć powagi, by utrzymać go na wodzy, ale nie jest politykiem i ma do tego żadnych kwalifikacyi. Zapewne byłby on posłem, niegorszym i niegłupszym od wielu innych, ze względu zaś na swój charakter, odwagę i szczerość przekonań bardzo nawet użytecznym, zwłaszcza pod kontrolą klubu dobrze zorganizowanego. O p. Winkowskim i innych tego nawet powiedzieć nie można

Powtarzamy — wybór niejednego z przewódców stronnictw demokratycznych byłby z tych lub owych względów pożądanym Ale ani programy stronnictw demokratycznych, ani ich przedstawiciele nie mogli wzbudzić zapału do walki w apatycznej inteligencyi ani w masach ludowych. Ten argument, używany przez stronnictwa ludowe, że jak będziemy mieli więcej posłów, to oni dużo dobrego dla ludu zrobią, nie miał mocy przekonywającej nawet dla włościan inteligentniejszych, skoro ci kandydaci nie umieli bodaj sformułować dobrze tego, co zrobić zamierzają, ani poprzednią swoją działalnością nie dowiedli, że są do pracy poważnej zdolni. Interpelacye i skargi, gwałtowne ale często niezbyt rozumne wystąpienia, bezpłodność zupełna działalności parlamentarnej tych, którzy byli posłami, co dotyczy nietylko posłów ludowych ale i demokratycznych, posądzanie dosyć uzasadnione tych ostatnich o konszachty z Niemcami z ujmą godności narodowej — nie były to zaiste zasługi, za które przeciętni obywatele gotowi byliby płacić narażaniem się wobec władzy, poświęcaniem swoich interesów osobistych lub znoszeniem drobnych przykrości. Z inteligencyi jedni usuwają się od głosowania, drudzy — głosują tak,

jak im różne względy nakazują. Zwycięztwo tego lub owego kandydata stosunków istniejących nie zmieni. Źle jest, ale tak czy owak głosować będziemy, lepiej nie będzie.

Taka apatya, taka obojętność i niewiara jest objawem bardzo smutnym, zwłaszcza, że się coraz bardziej szerzy.

Na razie nie ma jednak na nią lekarstwa.

Ale błędem byłoby twierdzenie, że porażka stronnictw opozycyjnych z ich dzisiejszymi programami i przewódcami jest porażką wielkiej sprawy odrodzenia narodowego Galicyi i wyzwolenia politycznego i społecznego ludu, dla której te stronnictwa nieraz niewłaściwie, nieumiejętnie ale szczerze działają. Ta sprawa nie może upaść, chociażby nawet upadły stronnictwa, które jej sztandar dziś podnoszą.

Mamy nadzieję, że inteligentniejsi przedstawiciele tych stronnictw zrozumieją bezskuteczność dotychczasowej taktyki i słabość dotychczasowych programów, że głębiej wnikną w istotę tej sprawy, której chcą służyć, że uświadomią sobie jej zadania i cele. A przedewszystkiem pojmą tę prostą i jasną, jednak dla wielu niewiadomą prawdę, że ten lud, dla którego ofiarnie pracują, że ten lud polski ma polską duszę.

Ta dusza polska spi w nim jeszcze, ale już się budzić zaczyna, już bezwiednie szamoce się współsenna, chcąc rozerwać te obce powijaki, którymi ją skrępowano.

Już dla niej nie wystarcza ten szablon obchodów narodowych i oklepanych, chociaż szczerych frazesów patryotycznych, stanowiących dotychczas program demokratyczny uświadamiania ludu w duchu narodowym. Dusza ludu polskiego nie jest duszą dziecka, którą błyskotkami i zabawkami można zadowolnić. Dojrzewa ona powoli do samowiedzy, a więc nietylko do poczucia, ale i do zrozumienia swej indywidualności odrębnej i chce tę indywidualność wyrazić w formach właściwych, rodzimych. Te formy, w których się dusza narodu wyraża, to są przedewszystkiem instytucye i prawa własne, naszym potrzebom i usposobieniu, naszym tradycyom i pojęciom odpowiadające.

Więc lud polski, jeżeli dziś nie rozumie jeszcze dobrze, to czuje już, że mu potrzeba polskiej szkoły nietylko z języka wykładowego ale i z ducha, polskich sądów i urzędów, na naszą własną, nie zaś na austryacką modłę wytworzonych, prawodawstwa polskiego, któreby się do charakteru narodu i warunków jego bytu stosowało, i temu charakterowi i warunkom odpowiadającej organizacyi samorządu politycznego. Nie koniec na tem, potrzeba

mu polskiego kościoła, polskiej nauki i sztuki, polskich urządzeń gospodarczych, a nadewszystko polskiej wolności, nie krępującej polotu myśli, swobody twórczości, osobistej czy zbiorowej, duchowej czy materyalnej

Wyrażając się ściślej, ludowi polskiemu potrzeba samorządu, zapewniającego mu samodzielność polityczną i odrębność narodową. To jest postulat pierwszy i najważniejszy polityki prawdziwie polskiej i prawdziwie demokratycznej. Wszystkie inne z niego wypływają i na wszystkie przyjdzie kolej wcześniej czy później, lud je urzeczywistni łatwiej czy trudniej, ale urzeczywistnić musi, skoro podstawę zdobędzie.

Jeżeli nie wśród dzisiejszych przedstawicieli stronnictw demokratycznych, to w młodem pokoleniu, sposobiącem się dopiero do życia publicznego, znajdzie lud polski przewodników inteligentnych, którzy go na tę drogę działalności politycznej i społecznej wprowadzą i zespolą jego dążenia z dążeniami braci z innych zaborów.

WZROST SIŁY POLSKIEJ W ZABORZE PRUSKIM.

W ostatnich czasach prasa hakatystowska rozpisywała się niejednokrotnie o groźnych dla niemczyzny na kresach wschodnich postępach żywiołu polskiego. Wydawano nawet w tym celu spore broszury i referaty, naszpikowane gęsto danemi statystycznemi, wybieranemi zazwyczaj dowolnie i zestawianemi tendencyjnie, ale nieraz ciekawemi i znamiennemi, jak np. cyfry, dotyczące polszczenia się miast w Poznańskiem. Wiarogodność tych cyfr była niewątpliwą i oświetliły one należycie fakt, którego społeczeństwo polskie zdaje się nie uświadamiało sobie.

Ma się rozumieć, te cyfry, a tymbardziej wywody prasy hakatystowskiej trzeba przyjmować *cum grano salis* dla tego właśnie, że wykazują one naszą niespożytą żywotność, że przypisują nam różne cnoty i przymioty, które posiadamy wprawdzie, ale nie w takiej mierze, w jakiej są one przedstawiane opinii niemieckiej w celu jej zastraszenia. Ale niedorzeczną i szkodliwą jest taktyka tych pism polskich, które tendencyjnej przesadzie hakatystów przeciwstawiają równie tendencyjne i kłamliwe twierdzenia o naszej bezsilności.

Te biadania i zaręczania, że jesteśmy słabi, że nietylko nie rośniemy w siłę, ale upadamy, nie wydają żadnego rezultatu praktycznego wobec rządu i opinii niemieckiej.

Hakatyści przesadzają niebezpieczeństwo, grożące niemczyźnie ze strony Polaków, ażeby skłonić rząd do wydania ustaw wyjątkowych a opinię publiczną usposobić przychylnie do ich przyjęcia. Nasze jednak dowodzenia nikogo nie przekonają, ba nikt ich nie bierze pod uwagę po stronie niemieckiej, natomiast na społeczeństwo polskie działają one przygnębiająco.

Za przykładem prasy hakatystowskiej idą teraz pisma półurzędowe. Wszystkie niemal dzienniki niemieckie powtórzyły artykuły *Berliner Correspondenz*, organu ministeryum spraw wewnętrznych, przedstawiające żywioł polski na kresach wschodnich monarchii pruskiej jako groźną nawałę, zagrażającą bezpieczeństwu Niemiec. Zamieszczenie i rozpowszechnienie tych artykułów stwierdza poniekąd krążące pogłoski, że w kuźni rządowej kują jakieś nowe projekty antypolskie.

Projektów tych nie odwrócą nasze zapewnienia, że jesteśmy słabi, że nie przedstawiamy żadnego niebezpieczeństwa dla niemczyzny. Raczej odwrócić by je mogło ujawnienie siły naszej. Skuteczne zaś przeciwdziałanie tym planom możliwem jest na gruncie konstytucyi pruskiej i niemieckiej, na gruncie obrony praw i swobód obywatelskich. Z tego punktu widzenia krytykuje wywody *Berliner Correspondenz* niezależna prasa niemiecka.

Prasa polska ostrzega społeczeństwo nasze, żeby nie brało za dobrą monetę wszystkiego, co organ urzędowy głosi.

Orędownik zaznacza: „Jest w całym ludzie naszym prąd i to dość silny, który przemawia zatem, że przychodzimy do zdrowia fizycznego i moralnego, że jest u nas postęp pod względem poczucia narodowego i materyalnego dobrobytu. Ale żebyśmy już dziś mieli stanowić groźną potęgę dla Niemiec, to złudzenie. Jeszcze dość daleko do tego, żebyśmy pozyskali własny wewnętrzny spokój, iż nasz byt materyalny i narodowy jest na wszelkie wypadki zabezpieczony, a cóż dopiero mówić o tem, że już dziś przedstawiamy groźną siłę dla Niemców. Jest więc w tych półurzędowych artykułach nie jedna prawda, ale daleko więcej przesady, daleko więcej pochlebstw dla nas".

Ta prawda, którą artykuły *Berliner Correspondenz* zawierają, tymbardziej zasługuje na uwagę, że opierają się one na faktach i cyfrach, zbieranych poufnie przez władze rządowe.

Pierwszy artykuł stwierdza, że w roku 1890 było w Prusach razem 30 milionów ludności polskiej. Od tego czasu ludność polska wzrosła znacznie, w r. 1895 wprawdzie nie oznaczano narodowości, ale uczyniono to na innej drodze w r. 1898 i pokazało się wtedy, że ludność polska w ciągu tych 8 lat wzrosła w całych Prusiech o 192.000 głów.

Na Ślązku wzrosła z 994 tysięcy na 1.024.000, w prow. saskiej z 22 na 26 tysięcy, w Hanowerze z 5 na 7 tysięcy, w Hessen Nassau z 950 na 2300, w Nadrenii z 6 na 23 tysiące, w Westfalii z 27 na 150 tysięcy. A w to nie liczy się wcale 48 500 robotników polskich, którzy czasowo przybywają do Prus z Królestwa i z Galicyi.

Te cyfry po przyjrzeniu się im nie są tak straszne dla niemczyzny. Sądzimy, że przyrost 192.000 w ciągu 8 lat odnosi się tylko do prowincyi polskich, wzrost zaś wychodźtwa zarobkowego do Niemiec osobno doliczać trzeba, inaczej bowiem byłby to przyrost mniejszy, niż wogóle dla całych Prus. Według naszych obliczeń ludność polska w Prusiech i w innych krajach Rzeszy liczyć powinna z końcem roku bieżącego około 3.400.000 głów i spodziewamy się, że spis jednodniowy tę cyfrę, albo blizką jej wykaże. Właściwie, jest Polaków znacznie więcej, ale nieświadomych swej polskości.

Wzrost świadomości najbardziej przeraża polityków półurzędowych.

»Gdyby chodziło tylko o liczebne pomnożenie ludności polskiej byłoby pół biedy, ale faktem jest, że te masy ludu są obecnie ożywione świadomością narodową. Tego dawniej nie było. Lud ten czuł się dawniej pruskim i na tem poprzestawał, teraz czuje się polskim. Nawet Mazurzy w Prusiech Wsckodnich dostają się pod ten prąd. W r. 1898 postawiła tam katolicko-narodowa partya ludowa w powiatach szczycieńskim i sąńsborskim na kandydata p. Lewandowskiego, kupca z Gniezna, i w powiecie szczycieńskim dostał on więcej głosów od kandydata niemieckiego, który byłby przepadł, gdyby mu powiat sąńsborski nie był dopomógł. Tak samo było z kandydaturą ks. dr. Wolszlegiera na Warmii: w pow olsztyńskim otrzymał więcej głosów od Niemca, któremu potem dopiero powiat reszelski dopomógł. A trzeba wiedzieć, że na Warmii katoliccy księża, a na Mazurach pastorzy występowali przeciw kandydatom polskim; lud polski jednak nie zważał ani na księży, ani na pastorów. Dzisiejszy spis ludności wykaże niewątpliwie znowu liczebny wzrost ludności polskiej. Tego wzrostu nie można

wytłómaczyć tem, że Polacy silniej się mnożą, ani tem, że dostają przyrost od ludu z Królestwa i Galicyi. Jasną jest rzeczą, że lud polski musi wchłaniać w siebie słabe żywioły niemieckie, które się polszczą.«

Ostatnie zdanie organu półurzędowego oburzyło *Dziennik berliński*, który protestuje przeciw polszczeniu się Niemców i tak pisze: „To przypuszczenie pisma niemieckiego jest, miejmy nadzieję, nieuzasadnione, gdyż nie daj Boże, by nasza uczciwa krew polska miała wchłaniać w siebie jad niemiecki, krew krzyżacką, którąby wniosła z czasem do naszego charakteru i kultury owe pierwiastki barbarzyńskie, każdemu człowiekowi cywilizowanemu wstrętne, a Prusakom nieodłącznie właściwe. Zresztą nam nie idzie o wynaradawianie innych, gdyż zwalczamy małżeństwa mieszane nawet tam, gdzie bezwzględne spolonizowanie się jednej strony pewnem. My brzydzimy się renegatami zarówno naszego narodu, jak i innych, choćby takie odstępstwo korzyść pozorną nam przynosiło.«

Pogląd *Dziennika poznańskiego* na tę sprawę jest niewłaściwym, pod pewnym względem nawet bałamutnym. Nietylko dla stosunków dzisiejszych, ale zwłaszcza dla naszej przyszłości narodowej możliwość polszczenia się Niemców jest sprawą bardzo ważną i nie można się z nią załatwiać za pomocą kilku frazesów, chociażby podyktowanych szczeremi i szlachetnemi uczuciami. Jakkolwiek więc ta sprawa ubocznie tylko dotyczy przedmiotu, o którym piszemy, ze względu na jej doniosłość rozpatrzymy ją szczegółowo.

Naprzód przyjmowanie narodowości tuziemców przez ludność napływową, chociażby oddawna osiadłą, jest objawem naturalnym i jako taki nie powinno wywoływać wstrętu moralnego, tymbardziej w danym wypadku, gdy żywioł uprzywilejowany pod względem prawno-politycznym, a nawet społeczno-ekonomicznym przyjmuje narodowość żywiołu prześladowanego. W takich warunkach, jakie są dziś w zaborze pruskim, Polak przyjmuje prawie zawsze narodowość niemiecką pod wpływem pobudek nizkich — braku odwagi obywatelskiej, próżności, chęci zysku, który ta zmiana mu zapewnia; Niemiec, przeciwnie, zmienia zazwyczaj swą narodowość na polską pod wpływem pobudek idealnych, chociaż może nie zdaje sobie z nich sprawy lub pod wpływem instynktu społecznego — przystosowania się do otoczenia.

Do krwi polskiej wsiąkło dużo tego rzekomego „jadu niemieckiego“, i jemu zawdzięczamy Lelewela, Bandtkiego, Lindego,

Bema, Libelta i wielu, wielu znakomitych i zasłużonych mężów, którymi się chlubimy. W XIII wieku napłynęło mnóstwo osadników niemieckich do miast i nawet wsi polskich, a i później przybywali licznie do ostatnich niemal czasów i powoli się polszczyli. Patryotyczne mieszczaństwo Warszawy i Krakowa jest w znacznej części pochodzenia niemieckiego.

Czyż zresztą Niemcami prawdziwymi są ci, którzy polszczą się lub mogą się spolszczyć kiedyś w zaborze pruskim? Ludność niemiecka w prowincyach polskich państwa pruskiego, ba, nawet w całej jego wschodniej połowie — w Brandenburgii, Pomeranii i Saksonii ma więcej w sobie krwi polskiej i wogóle słowiańskiej — pomorskiej, obotryckiej, łużyckiej — lub litewskiej, niż germańskiej. Prawdziwymi Niemcami nie są nawet późniejsi przybysze, tymbardziej, że się mieszają z ludnością dawniejszą. Natomiast ludność polska, nawet w wielu okolicach Poznańskiego ma niewątpliwie w żyłach sporą domieszkę krwi niemieckiej. O Prusach Wschodnich i Zachodnich, a nawet o całem Pomorzu Baltyckiem można powiedzieć, że je zamieszkuje jeden — historycznie i etnicznie — naród, którego część mówi po niemiecku, część zaś po polsku i po litewsku. „Krwi krzyżackiej“ w ludzie nie ma, znalazłoby się chyba jej trochę w szlachcie pruskiej, ale rozcieńczonej znacznym dopływem krwi polskiej, toć przecie nawet w Prusach Wschodnich liczono jeszcze w połowie XVIII wieku 400 rodzin szlacheckich polskich, które później się zniemczyły. Nazwiska Putkammerów, Unruhów, Kalksztenów i wiele innych znaleźć można zarówno na liście naszych bohaterów narodowych, jak i na liście hakatystów.

To fałsz — że narodowości podbite giną, one tylko przetwarzają się etnicznie pod wpływem czasowych i zmiennych warunków historyczno-politycznych. Niedawno jeszcze mówiąca po niemiecku ludność Prus Zachodnich była politycznie polską i o polskości swej w potrzebie krwią własną świadczyła. Toruń i Gdańsk protestowały przeciw drugiemu rozbiorowi Polski w języku niemieckim, supliki niemieckie podawała w XVII w. ludność Prus Wschodnich o przyłączenie kraju tego do Polski.

Dziś ludność powiatu wałeckiego w Prusiech Zachodnich, przeważnie polskiego pochodzenia, o czem nawet zachowała tradycyę, mówi już tylko po niemiecku, natomiast Bambrowie poznańscy, potomkowie stosunkowo niedawno sprowadzonych kolonistów bawarskich, mówią po polsku i czują się Polakami. Podobnych przykładów możnaby dziesiątki wyliczyć.

Czynniki ekonomiczne wywierają znaczny wpływ na kształtowanie się narodowości. Granicom narodów i państw narodowych odpowiadają zwykle granice przyrodzonych terytoryów ekonomicznych. Prusy Zachodnie i Wschodnie należą do takiego przyrodzonego terytoryum polskiego i gdyby powstało państwo polskie, chociażby tylko z Królestwa i Galicyi złożone, ciążyły by do niego, dążyłyby do połączenia się z niem w jedną całość, nawet będąc pod względem językowym zupełnie zniemczonemi. Ta wspólność interesów ekonomicznych mogłaby dziś nawet być odpowiednio wyzyskaną politycznie, gdyby nasi mężowie stanu mieli więcej śmiałości i samodzielności myśli.

Na odwrót, przyszła Polska bez Prus Zachodnich i Wschodnich, bez dostępu do morza, nie mogłaby istnieć, nie mogłaby rozwijać się ekonomicznie i politycznie. Te prowincye są nieodłączną częścią naszego terytoryum narodowego, na co chyba *Dziennik Berliński* się zgodzi.

Otóż musielibyśmy stanowczo wyrzec się tych prowincyi raz na zawsze, gdybyśmy wyrzekli się myśli spolszczenia, czyli raczej odniemczenia tej części ich ludności, która dziś mówi przeważnie po niemiecku i, co ważniejsza, za niemiecką się uważa. Ludność polska w Prusiech Zachodnich nie dochodzi nawet 50% ogółu mieszkańców, zaś w Prusiech Wschodnich łącznie z litewską wynosi zaledwie 35% najwyżej 40%, licząc już zupełnie nieuświadomionych narodowo.

Polszczenie się ludności, mówiącej po niemiecku, odbywać się dziś może jedynie drogą budzenia w niej samowiedzy politycznej polskiej, wykazywania łączności jej interesów społeczno-ekonomicznych z interesami narodowymi polskimi. Ani dziś, ani nawet w zmienionych warunkach przyszłości nie może być mowy o przymusie, gwałcie lub innych, wstrętnych etycznie i szkodliwych politycznie, sposobach wynaradawiania. Ale asymilacya dobrowolna istnieć musi, skoro istnieją przyczyny, które ją wywołują, i przeciwdziałanie temu procesowi przyrodzonemu byłoby niedorzecznością polityczną.

Odbiegliśmy daleko od wywodów *Berliner Correspondenz*, wracamy więc corychlej do nich.

Drugi artykuł organu półurzędowego jest poświęcony postępowi ekonomicznemu ludności polskiej i zawiera oprócz znanych nowe a ciekawe cyfry.

Dawna Polska — pisze *Berliner Correspondenz* — upadła skutkiem braku zarobkujących warstw średnich i skutkiem marno-

trawstwa zasobów ekonomicznych. Dziś społeczeństwo polskie — o ile należy do państwa pruskiego — wzmocniło i potęguje swą siłę zarobkową w nadzwyczajny sposób.

Przykładem wzrostu dobrobytu jest rozwój klasy mniejszych właścicieli ziemskich Polaków (posiadających mniej niż 200 hektarów gruntu). Cyfry, podane w organie ministeryalnym, oparte są na nieznanej ale, zdaniem jego, zupełnie wiargodnej statystyce, i wykazują, że mniejsza własność przechodzi z rąk niemieckich w polskie. Oto szczegółowy wykaz strat niemieckich z zamianą hektarów na morgi:

Od roku 1897 a więc w ciągu 3 łat wykupili Polacy od Niemców 1324 posiadłości, z górą 40 tysięcy mórg. Przy tem nie oblicza się wcale tych gospodarstw drobnych, które powstały wskutek parcelowania folwarków i wsi, więcej obejmujących, aniżeli 800 morgów ziemi.

W szczegółach przedstawia się ta rzecz tak:

W roku 1897 wyszło:
z niemieckich rąk 1133 posiadłości obszaru 28872 morgów;
z polskich 483 posiadłości, 11916 morgów;
w roku 1898 wyszło:
z niemieckich rąk 954 posiadłości, 24760 morgów;
z polskich 598 posiadłości, 14300 morgów;
w roku 1899 wyszło:
z niemieckich rąk 378 posiadłości, 26968 morgów;
z polskich 560 posiadłości, 10930 morgów.

Ogółem straciła mniejsza własność niemiecka około 44.000 morgów, czyli dokładnie 10.486 hektarów.

Powtarzamy, że nie uwzględniono wcale w tym wykazie wzrostu drobnej własności polskiej wskutek parcelacyi większych obszarów, która, zdaniem *Berliner Correspondenz*, przybrała szerokie rozmiary. Ale nie uwzględniono również działalności banków niemieckich i komisyi kolonizacyjnej, która w Poznańskiem i Prusiech Zachodnich do r. 1899 osadziła 24.000 osób (nie zaś gospodarzy, jak piszą niektóre dzienniki poznańskie, liczba gospodarzy bowiem nie wiele przenosi 4.000). Znaczna zresztą część kolonistów należy do ludności niemieckiej miejscowej.

Niemcy nie mają już tej siły zarobkowej, co dawniej; gospodarz i wyrobnik polski rugują ich z starych siedzib niemieckich i z coraz większą siłą cisną. Niemcom przykrzy się to i w końcu sami wynoszą się w głąb Niemiec między swoich, gdzie im lżej na duszy. Tak się dzieje w okolicy Babimostu, Międzychodu,

Wschowy, Czarnkowa, Wielunia, Chodzieży, Wyrzyska i Bydgoszczy.

Skutkiem tego wzmagającego się dobrobytu, ludność polska rozrasta się, co poznać najlepiej na szkołach w okolicach niemieckich, w których to szkołach były dotąd prawie tylko dzieci niemieckie, a teraz przybywa tam coraz więcej dzieci polskich. I tak w Smieszkowie koło Wschowy było 7, teraz jest 42 dzieci polskich na 100 wszystkich, w Potrzebowie było na 100 tylko 6, teraz jest 50 dzieci polskich, w Lginiu za Wolsztynem na 100 było 34, teraz jest 44 polskich, w Świdnicy na 100 było 15, teraz jest 28, w Włoszakowicach na 100 było 48, teraz jest 66 polskich dzieci. A to wszystko są okolice przeważnie niemieckie. Że w okolicach mniej niemieckich to samo się dzieje, rzecz naturalna. Polacy wchłaniają w siebie nawet Niemców.

„Walka narodowościowa wzmaga się coraz gwałtowniej, niebezpieczeństwo dla Niemców staje się coraz groźniejsze, bo wsie, do których się raz chłop polski wedrze, można uważać za stracone dla niemczyzny. Jeżeli w kresowych powiatach chłop niemiecki zostanie ekonomicznie złamany przez chłopa polskiego, to upadnie z chłopem niemieckim niemiecki wał obronny i chłopu polskiemu będą stały otworem sąsiednie prowincye".

Tendencyjność ostatniego zdania jest aż nadto widoczną, wprawdzie bowiem w pogranicznych okolicach Brandenburgii i Dolnego Śląska osiedliła się pewna liczba gospodarzy polskich, o napływie Polaków do tych prowincyi nie można mówić poważnie.

Berliner Correspondenz mówi dalej o polszczeniu się miast, o rozwoju polskiego handlu i przemysłu, powtarzając znane już dawniej fakty. Wywody swoje organ ministeryalny kończy pochlebnem dla nas świadectwem:

„Nie ulega wątpliwości, że słabość ekonomiczna polskich warstw zarobkowych, bezowocne marnotrawstwo siły ekonomicznej, które uważać należy za jedną z przyczyn byłego państwa polskiego upadku, powoli ustąpiły miejsca — przynajmniej w dzielnicach polskich pod panowaniem pruskiem, wytrwałej energii, pracowitości i świadomemu celu swego postępowi na każdem polu, w każdej dziedzinie zarobkowej. Tak, w przemyśle, jak i w rzemiośle, handlu i rolnictwie dokonywa się potężny rozkwit żywiołów polskiej narodowości, tak pojedyńczych jednostek, jak i pracy organicznej, spółkowej wszelkich ekonomicznych czynników."

Te przesadne pochwały jak najjawniej, według *Berliner Correspondenz*, wykazują, że „coraz silniej wdziera się w głąb Prus wroga »potęga«, że „polskie niebezpieczeństwo“ musi doprowadzić do „narodowej wojny“, jeśli rząd niemiecki nie zabierze się energicznie do powstrzymania wszelkimi środkami tego wzrostu potęgi polskiej.

Wniosek organu ministeryalnego jest wykroczeniem przeciw konstytucyi pruskiej, co zaznacza niezależna prasa niemiecka. Katolicka *Germania*, czyni *Berliner Correspondenz* ten głównie zarzut, ze cały żywioł polski mierzy jedną miarą, podówczas, gdy organ katolicki jednych Polaków zwalcza, drugich do czasu toleruje.

W Poznańskiem mają Polacy prawa przyrodzone i boskie do rozwoju narodowego, na Ślązku — nie mają tego prawa.

»Co się tyczy Ślązka, to kłamstwem jest, jakoby tam ludność polskiego pochodzenia miała się stanowczo czuć polsko-narodową. Prawda, że — niestety skutkiem fałszywych kroków rządu pruskiego, które musiały wywołać w ludzie górnoślązkim wielkie niezadowolenie i wrzenie, — objawiły się tam dążności, które usiłują ludność górnoślązką połączyć z resztą Polaków w zaborze pruskim — w jedno ciało polskie narodowe, ale myśmy — t. j. katolicy niemieccy — zawsze jak najmocniej te dążności zwalczali. Że te dążności nie odniosły żadnego skutku, dowodzą wybory do parlamentu na G. Ślązku, gdzie lud wybiera zawsze posłów centrowych.«

Mamy nadzieję, że wkrótce *Germania* zacznie już w czasie przeszłym mówić o wyborze posłów centrowych na Ślązku, i że lud górno-ślązki stwierdzi słuszność obaw organu ministeryalnego z powodu wzrostu i rozszerzania się świadomości narodowej polskiej na kresach.

Z ZA KULIS KONSPIRACYI UGODOWEJ.

Kilkakrotnie z powodu niedawnego zwrotu w polityce koła polskiego jak i z powodu polityki ugodowej w Królestwie wspominaliśmy o istnieniu „konspiracyi“ w obozie zachowawców galicyjskich, zwłaszcza w solidarnem kole stańczyków krakowskich, prowadzonej na rzecz rządu rosyjskiego i nawet w porozumieniu z jego agentami. O tych konszachtach mieliśmy wiadomości zu-

pełnie pewne, aczkolwiek z natury rzeczy niezbyt dokładne, bo o szczegółach poinformować by mogli tylko wtajemniczeni. Opierając się na tych wiadomościach, poufnie nam udzielonych przez osobę, nietylko wiarogodną ale zajmującą wybitne stanowisko społeczne i polityczne, zaznaczyliśmy — mniej więcej rok temu — z naciskiem, że lojaliści galicyjscy, którzy dotychczas twierdzili, że wierność monarchii habsburskiej powinna być kamieniem węgielnym polityki polskiej, teraz gotowi byliby przeniewierzyć się Austryi na rzecz Rosyi, ma się rozumieć, nie dla interesu narodowego lecz dla swoich osobistych lub klasowych korzyści. W wielu kołach, nawet sympatyzujących z naszem pismem, ganiono takie otwarte postawienie sprawy, takie zuchwałe targnięcie zasłony, zakrywającej tajemnicę konszachtów arystokratycznych, uważano bowiem, że dowody, które mogliśmy przytoczyć, nie ujawniając osób, nie są wystarczające, że są to dopiero poszlaki, uzasadniające wprawdzie podejrzenia, ale nie fakty stwierdzone.

Poszlaki jednak mnożyły się coraz bardziej. Rzecz jasna, że sprawa cała tej konspiracyi arystokratyczno-ugodowej nie prędko będzie znaną ogółowi, a może nawet nigdy na światło dzienne nie wypłynie. Tajemnicy strzeże interes osobisty konspiratorów ugodowych, odsłonięcie jej szczegółów, wykrycie jej sprężyn skompromitowałoby nietylko wielu ludzi, zajmujących wysokie stanowiska ale i całą koteryę stańczykowską, całą arystokracyę galicyjską i sfery, rządzące w kraju. Z konspiracyą ugodową łączy się zresztą wiele innych jeszcze tajemnic, dotyczących ludzi żywych, którzy zajmują lub niedawno zajmowali w kraju czy w państwie wysokie stanowiska. Wiążą się z nią pośrednio takie nawet sprawy, jak upadek hr. Badeniego i katastrofy finansowe, niewątpliwie, jak to w swoim czasie zaznaczyliśmy, świadomie wywołane, które miały posłużyć i w pewnej mierze posłużyły do skompromitowania i obezwładnienia kilku ludzi, zajmujących stanowiska wysokie a uważanych za przedstawicieli polityki antyrosyjskiej. Nie jest bez znaczenia i ten fakt, powiedzmy, ta poszlaka, że właśnie pisma, jawnie propagujące politykę ugodową względem Rosyi lub kierunek panslawistyczny, wyraźnie lub półsłówkami do zaznaczonego wyżej celu zmierzały.

Powtarzamy, konspiracya ugodowa nie prędko będzie na światło dzienne wyprowadzoną, chyba że zdradzi jej *arcana* ktoś pośrednio lub bezpośrednio wtajemniczony a osobiście dotknięty i doprowadzony do ostateczności. Bo i ci, których ta konspiracya

z widowni politycznej zręcznie usunęła, żeby jej nie przeszkadzali, mają swoje inne tajemnice, których ujawnienia nie życzą sobie, któreby ich może gorzej jeszcze skompromitowały lub nawet dobiły.

Ale poszlaki coraz to nowe przybywają. *Kuryer poznański*, organ arcybiskupa Stablewskiego, dostarczył niedawno świeżej i jak zobaczymy, dosyć ważnej. Co go do tej rewelacyi skłoniło, nie będziemy dochodzili, pozwolimy sobie tylko wyrazić przypuszczenie, że może pobudką do uchylenia rąbka zasłony, okrywającej tajemicę ugodową, dały liczne w prasie zaboru pruskiego objawy niedorzecznego i niebezpiecznego rusofilstwa, o których mowiliśmy w numerze poprzednim.

W początkach stycznia r. z. czytamy w *Kurycrze poznańskim* — przybył do Krakowa jeden z poważnych obywateli z za kordonu.

„Jechał z Petersburga i wiózł wieść dziwną, która silnie wzruszyła nieliczne grono osób, wtajemniczonych przez dalekiego gościa w jego nowinę.

„Oto, według jego relacyi, zaczęto się nad Newą przypatrywać kwestyi polskiej z odmiennego jak dotąd stanowiska.

„Przedłożono carowi znaleziony wśród papierów Milutyna memoryał o stosunku rządów austryackiego i pruskiego do narodu polskiego, oraz szereg wniosków i poglądów w sprawie zachowania się rządu rosyjskiego wobec kwestyi ogólno polskiej.

„Car memoryał ten przeczytał i zarządził tajną ankietę, do której zawezwany został między innymi także generał-gubernator warszawski książę Imeretyński, oraz ambasady rosyjskie w Berlinie i Wiedniu, konsulaty nadgraniczne i szef departamentu prasowego w ministerstwie spraw zagranicznych.

„Podstawami do badań były:

„1) Dawna akcya hr. Kalnoky'ego, dążąca tak przez prasę austryacką, jak i innemi drogami do wywołania jak największej nieprzyjaźni do Rosyi wśrod Polaków galicyjskich i wśród tych, którzy żyją pod berłem rosyjskiem.

„2) Stanowisko i zachowanie się rządu niemieckiego w sprawie stosunku polsko-rosyjskiego.

„3) Kwestya ruska w Galicyi oraz stanowisko Koła polskiego w Wiedniu i opinii publicznej w Galicyi w stosunku do Niemców austryackich, po upadku hr. Badeniego, jak nie mniej stosunek Polaków pod rządem pruskim do żywiołu niemieckiego.

„4) Wewnętrzne objawy opinii polskiej w Królestwie i prowincyach zabranych.

„Rezultat tej ankiety był następujący: Dla rządu rosyjskiego wskazanem jest obecnie i pożytecznem dążenie ku p o z y s k a n i u s o b i e w p ł y w o w y c h g ł o s ó w p o l s k i c h z obu stron kordonu, uczynienie w własnym zakresie działania, o d p o w i e d n i c h z a r z ą d z e ń, k t ó r e b y w c a ł e j p r a s i e w y w o ł a ł y s i l n y r u c h a n t y g e r m a ń s k i.

„O tem wszystkiem — pisze *Nowa Reforma* — do dzisiaj wiedziało tylko „nieliczne grono osób“, jak powiada *Kuryer Poznański*. Ale jeżeli podobna akcya była istotnie wdrożona ze strony rządu rosyjskiego, to niewątpliwie wiedziało o niej już dawniej, zaraz „po upadku hr. Badeniego“ jeszcze nieliczniejsze grono przywódców konserwatywnych. Z pewnością też rząd rosyjski nie zasypiał sprawy, a »szef departamentu prasowego«, zapomocą „odpowiednich zarządzeń“ niewątpliwie starał starał się oddziałać na „opinię publiczną w Galicyi;“ z pewnością zajmowano się nie tylko „kwestyą ruską“, lub „stanowiskiem Koła polskiego we Wiedniu“, ale i wielu innemi naszemi sprawami“.

„Powyższe odkrycie tłómaczy nietylko niespodziewane narodziny »poczucia solidarności słowiańskiej« w prasie galicyjskiej, ale i świadome lub bezwiedne objawy ciążenia ku Rosyi, na które juz dawniej zwracaliśmy uwagę — czytamy dalej w *Nowej Reformie*. — Ci nowi „bojownicy sprawy słowiańskiej chcieli i nas pociągnąć na manowce, powstał jeżeli nie „w całej prasie polskiej“, to w pewnym jej odłamie nietylko »silny ruch antygermański«, ale wprost... panslawistyczny. Myśmy zawsze stawiali najpierw Polskę i sprawiedliwość, a potem Słowiańszczyznę, tymczasem poczęto głosić te hasła w odwrotnym kierunku: słowiańskość przed Polską i sprawiedliwością. „Naród, narodowość, patryotyzm polski, niepodległość ojczyzny« stały się słowami, które wstydliwe i półgębkiem wymawiano, natomiast chełpliwie, przed obcymi poczęto prawić o „wielkiej słowiańskiej ojczyźnie!“

Artykuł *Kuryera Poznańskiego* nie kompromituje bezpośrednio konserwatystów, nie mówi bowiem o tem, czy narada, która nastąpiła po wylewie »wielkiej radości«, miała jakikolwiek wynik praktyczny.

Przypuszczać nawet można, że obecnie poprzestano na akademickich tylko rozprawach na temat ugody z rządem rosyjskim i co najwyżej zakomunikowano tylko współwyznawcom politycznym w Królestwie wskazania praktyczne, zaczerpnięte z doświadczeń i rozmyślań krakowskich mężów stanu.

Pośrednio jednak artykuł *Kuryera Poznańskiego* stwierdza dowodnie, że galicyjscy lojaliści prowadzą po cichu politykę konspiracyjną, którą głośno tak bezwzględnie potępiają — w działalności publicznej swych przeciwników. Ta polityka nie jest jakąś intrygą doraźną stronnictwa prowincyonalnego, w zakresie jego legalnego działania, ale ma wyraźny charakter wszechpolskiej konspiracyi, niewątpliwie zorganizowanej.

Wykazywaliśmy nieraz, że w warunkach naszego życia politycznego, zwłaszcza w zaborze rosyjskim, nawet najlojalniejsze stronnictwa nie mogą się wyrzec taktyki konspiracyjnej i nielegalnych sposobów działania. Nie potępiamy więc i lojalistów galicyjskich w zasadzie za to, że spiskują, ani za to nawet, że przeniewierzają się nieraz po cichu głośno proklamowanemu hasłu bezwzględnej wierności Austryi. Z naszego stanowiska występujemy przeciw tego rodzaju knowaniom dla tego przedewszystkiem, że uważamy je za szkodliwe dla sprawy narodowej, następnie zaś dla tego, że są one objawem magnackiej samowoli, że wyłamują się z pod kontroli opinii publicznej. Takie właśnie knowania, w zupełnej tajemnicy w pewnych kołach przedsiębrane, wprowadzają do polityki zgubną zasadę *liberum conspiro*. Konspiracye, zwane przez lojalistów rewolucyjnemi, chociażby dlatego tylko, że mają charakter demokratyczny, liczyć się muszą z opinią publiczną, szukać potwierdzenia jeżeli nie ogółu, nie wiekszości nawet, to znacznej części społeczeństwa. Ludzie, którzy takiemi robotami, zazwyczaj niewłaściwie zwanemi konspiracyą, kierują, przystosowywać muszą swoje dążenia, swoją działalność do poglądów politycznych, panujących w danej chwili w społeczeństwie lub przynajmniej w pewnych jego kołach. Te koła muszą przedstawiać pewną powagę i siłę, inaczej bowiem działająca w myśl ich poglądów i wymagań »konspiracya« nie miałaby żadnego znaczenia i rychło przestałaby istnieć. Tak zwani konspiratorzy demokratyczni nie zajmują zwykle stanowisk społecznych, któreby im kierownictwa robotami politycznemi zapewniały lub ułatwiały. Mandaty im daje zgodność ich poglądów i dążeń z opinią publiczną, z poglądami, dążeniami i interesumi tych grup czy warstw społecznych, które reprezentują. Każda więc, nawet rewolucyjna konspiracya demokratyczna musi z konieczności ulegać pewnej kontroli społeczeństwa.

Natomiast konspiratorzy arystokratyczni wcale takiej kontroli nie uznają. Urodzenie daje im przywilej rozumu politycznego — nawet wtedy, gdy zwykłego rozsądku nie mają — i monopol

»prawdziwego patryotyzmu«. Oni są uprawnieni nietylko do przedstawiania społeczeństwa, ale i do stanowienia o jego losach, nie pytając o zdanie warstw nieuprzywilejowanych, nie troszcząc się o interesy i potrzeby tych warstw, o ich dążenia polityczne. Narodowi nie wolno pytać nawet o to, co ci uprzywilejowani konspiratorzy robić zamierzają, co o przyszłości jego myślą. Opinia publiczna nie istnieje dla nich, nie liczą się z nią wcale. Mandatów nikt im nie daje, otrzymują je dziedzicznie, a nawet sami obdarzają nimi tych szczęśliwych, których z tłumu do swego grona powołują. Co postanowią dla dobra narodu, spełniać powinien ten naród bez szemrania, chociaż by mu się wydawało głupiem i szkodliwem.

Byt' po siemu — i koniec.

Nic dziwnego, że ci uprzywilejowani konspiratorzy mają takie sympatye dla Rosyi.

KRWAWE DZIEJE.

Mikołaj Wasilewicz Berg. Zapiski o powstaniu polskiem 1863 i 1864 r. i poprzedzającej powstanie epoce demonstracyj od 1856 r. przełożył z rosyjskiego oryginału, wydanego kosztem rządu a następnie zniszczonego przez cenzurę, K. J. Kraków 1898-1900. Nakład »Spółki wydawniczej».

Ciekawa książka — nie tylko ze względu na jej treść, ale i na koleje, które przechodziła, zanim ukazała się po wielu latach w przekładzie polskim.

Wielu zapewne czytelników naszych zna „Zapiski“ M. W. Berga, drukowane pierwotnie w *Ruskiej Starinie*, a następnie wydane w dwóch tomach w zmienionej nieco postaci, a mianowicie skrócone wskutek wypuszczenia ustępów drażliwych. Bibliografowie wiedzą jeszcze o wydaniu poznańskiem (w oryginale rosyjskim), stanowiącem jednak wielką rzadkość. Nawet p. Z. L. S. autor licznych prac, poświęconych dziejom ostatniego powstania i poprzedzającej je epoki, wyznaje, że korzystał jedynie z zapisków M. Berga, drukowanych w *Ruskiej Starinie*. Tylko wydanie poznańskie zawiera zupełny tekst dzieła, przerobionego następnie i zastosowanego do wymagań cenzury. Zanim jednak opowiemy zkąd ono się wzięło, zobaczymy: w jaki sposób książka powstała i zapoznamy się trochę z jej autorem.

Namiestnik Królestwa hrabia Berg, dowiedziawszy się, że Murawiew w Wilnie poruczył generałowi Ratczowi napisanie historyi swoich krwawych rządów, zapragnął być również uwiecznionym i polecił imiennikowi swemu, M. W. Bergowi opracowanie dziejów powstania 1863 i 1864 r., otwierając mu dostęp do archiwów rządowych, między innemi i do akt komisyi śledczej w cytadeli.

Ten Mikołaj Berg, późniejszy redaktor *Warszawskiego Dniewnika* i lektor języka rosyjskiego w uniwersytecie, był osobistością ciekawą i oryginalną. Wychowaniec uniwersytetu moskiewskiego, następnie oficer, po wojnie krymskiej został publicystą a zarazem poetą, właściwie tłumaczem utworów poetów obcych na język rosyjski. W r. 1863 znalazł się w Warszawie w roli dosyć dwuznacznej publicysty urzędowego, podejrzywanego o spełnianie innych jeszcze czynności, raczej policyjno-wywiadowczych niż dyplomatyczno-dziennikarskich. Był on człowiekiem rozumnym i spostrzegaczem bystrym, aczkolwiek trochę powierzchownym, posiadającym umysł trzeźwy, jasny i może nawet zanadto krytyczny. Ale zarazem był on człowiekiem wykolejonym, bo nie udało mu się zrobić odpowiedniej zdolnościom jego karyery urzędowej. Zrobienie karyery utrudniały mu niewątpliwie znamienne właściwości umysłu i charakteru, szczególnie zaś skłonność do urządzania, mówiąc żargonem warszawskim, „kawałów", dowcipnych figlów, zarazem dobrodusznych i złośliwych. Taką skłonnością odznaczają się zwykle »prawdziwi ludzie rosyjscy« tego, co Berg typu. Z czasów studenckich pamiętam figiel, jaki wypłatał Berg, kolegom profesorom, ma się rozumieć, Moskalom, świeżo przybyłym z Moskwy czy nawet z Kazania do Warszawy. Zapewniwszy ich, że w Warszawie istnieje zwyczaj uczęszczania na bale publiczne, zaprowadził obu z żonami do słynnego wówczas Tivoli, gdzie zbierały się damy więcej niż lekkich obyczajów, i sam z najpoważniejszą miną rekomendował paniom profesorowym napotkanych studentów. Raziła nieco naiwne damy moskiewskie zbytnia swoboda salonowych obyczajów polskich w Tivoli prędko jednak zastosowały się do niej i brały udział w tańcach wesołych, podczas gdy Berg pił z ich małżonkami, złośliwie mrugając do studentów. Przypomniałem sobie ten fakt, czytając książkę Berga, bo znalazłem w niej podobne „sztuki", ma się rozumieć, w rodzaju poważniejszym.

Dodać trzeba, że Berg był szczerym patryotą rosyjskim, ale w stylu moskiewsko-liberalnym, znacznie różniącym się od stylu

petersbursko-liberalnego, patryotą z odcieniem słowianofilskim, wielbicielem gorącym, chociaż czasem ironicznym wszystkiego, co rosyjskie. Do niego zastosować można wybornie słowa Szczedryna: „takie prawdziwie rosyjskie dusze spotyka się najczęściej u Niemców“, naturalnie zmoskiewszczonych. Pomimo jednak patryotyzmu rosyjskiego nie żywił nienawiści do Polaków, przeciwnie, podczas długiego pobytu w Warszawie spolszczył się w pewnej mierze, ożenił się z Polką, tłumaczył dzieła pisarzy polskich, między innemi »*Pana Tadeusza*», na język rosyjski. Należał do tego jeszcze pokolenia Moskali, z którem można było porozumiewać się po ludzku. Książka jego, jak słusznie zaznacza tłómacz, »nawet dla bardzo drażliwego sumienia polskiego nie jest przykrą do czytania»,

Zapoznawszy się z materyałem urzędowym, który jak zapewnia, całkowicie wyczerpał, i uzupełniwszy zdobyte wiadomości objaśnieniami, uzyskanemi od osób, zarówno Polaków jak Rosyan, biorących czynny udział w opisywanych wypadkach, M. W. Berg nadał swej pracy szerszy zakres, i nie czekając ukończenia dzieła, zamieszczał ustępy z niego w *Ruskiej Starinie*, zaprawiając je sosem patryotyczno-moskiewskim, z którego później oczyścił je trochę w książce.

Namiestnik hr. Berg nie dożył chwili ukończenia książki, autor zresztą nie odważyłby się przedstawić mu jej w całości. Dopiero po śmierci namiestnika pracę swą w 4 grubych tomach autor przedłożył generał-gubernatorowi hr. Kotzebnemu, który, nie czytając dzieła i opierając widocznie swój sąd na ogłoszonych poprzednio wyjątkach, kazał je wydrukować kosztem rządu. Zanim jednak dzieło ukazało się w handlu księgarskim, przeczytał je ktoś z dygnitarzy ówczesnych i narobił alarmu. Cały nakład zabrano i spalono. Ocalało zaledwie kilkanaście egzemplarzy, do których dorobiono kartę tytułową, oznaczającą Poznań jako miejsce druku. Jeden z tych ocalonych egzemplarzy znalazł się w bibliotece Ossolińskich i posłużył do przekładu śp. Jaskłowskiemu, uczestnikowi powstania 1863 r. Tłómacz dołączył do dzieła Berga nieznaną autorowi korespondencyę telegraficzną namiestników ówczesnych z carem Aleksandrem II i ministrami, W przekładzie polskim opuszczono pierwszą część dzieła, obejmującą dzieje rządów Paskiewicza, ponieważ ta część opiera się przeważnie na znanych źródłach polskich i zresztą została już dawniej (w r. 1880) przetłómaczoną przez W. Raleksa (Aleksandra Ryszczewskiego).

Nie można się dziwić, że *Zapiski* Berga zostały zniszczone, raczej dziwić się trzeba, że autorowi niesłychane w Rosyi zuchwalstwo uszło na sucho*).

Dzieło zawiera świetną nieraz, ostrą i surową, sięgającą głęboko w rdzeń rzeczy krytykę polityki rządu rosyjskiego w Polsce i działalności jego przedstawicieli, nie wyłączając osób nietylko wysoko ale najwyżej w hierarchii państwowej położonych jak np. wielkiego księcia Konstantego Mikołajewicza a nawet cara Aleksandra II, o którym M. W. Berg wyraża się ze śmiałością zadziwiającą w autorze dzieła, kosztem rządu wydanego. Bardziej jeszcze drażliwe i dotkliwe są charakterystyki dygnitarzy zajmujących w chwili wydania książki wysokie stanowiska w hierarchii urzędowej lub niedawno zmarłych. Niektóre z tych charakterystyk, jak np. księcia Gorczakowa, służbistego prostaka Suchozaneta a zwłaszcza namiestnika hrabiego Berga nazwać można mistrzowskiemi, tak są trafne i subtelne, tak dowcipne a głębokie i śmiałe. Wreszcie są w książce Berga ciekawe a kompromitujące rząd lub jego przedstawicieli, nie wyłączając »najdostojniejszych osób«, rewelacye, np. plany ogłoszenia W. Ks. Konstantego królem polskim, snute nietylko przez polityków polskich ale i propagowane przez niektórych dygnitarzy rosyjskich.

Dzieło Berga, pisane obrazowo i żywo, ze sporą dozą dowcipu i bystrej obserwacyi — posiada wartość artystyczną i każdy przeczyta je z zajęciem. Dla historyka zaś i publicysty posiada wartość nie tyle ze względu na ciekawy a w znacznej części niedostępny materyał, który autor wyzyskał, ile ze względu właśnie na charakterystykę polityki rządu rosyjskiego w Polsce i charakterystyki osób, działających w owej epoce, wreszcie ze względu na obfity zasób ciekawych i zkąd inąd nieznanych szczegółów anegdotycznych, wymagających wszelako ścisłej oceny krytycznej.

Materyał, z którego Berg korzystał, był bardzo różnorodny i, jak zaznaczono wyżej, dla innych autorów niedostępny, później

*) Co prawda, dosyć lekkomyślny w życiu prywatnem autor okazał się w tym wypadku przezornym, przyjmując bowiem propozycyę hr. Berga, zażądał wydania mu listu ochronnego, gwarantującego, że »za wypowiedziane poglądy czy to o osobach czy o samym rządzie nigdy i przez nikogo nie będzie pociągany do odpowiedzialności, a także, że nikt nie zażąda od niego wyjaśnień, zkąd zaczerpnął wiadomości o tym lub o owym fakcie, nie podanym w źródłach urzędowych«. Namiestnik hr. Berg taki list ochronny podpisał.

dopiero pozwolono p. Przyborowskiemu (Z. L. Sulima) z niektórych tych źródeł czerpać. »Przynoszono mi — powiada Berg, sprawy śledcze z audytoryatu polowego, sprawozdania agentów policyjnych z kancelaryi ober-policmajstra, różne sprawy sekretne, przejęte depesze Rządu narodowego i jego wydziałów, plakaty, ryciny, różne podziemne wydawnictwa, i z kancelaryi namiestnika zagraniczne polskie dzienniki. Nadto z listem otwartym namiestnika jeździłem po całem Królestwie, zbierając ustne opowiadania dowódzców wojskowych i innych osób o bitwach i wydarzeniach, w których brali czynny udział,... miałem przytem prawo żądania żeby mi były przedkładane wszelkie papiery i pisma, znalezione u powstańców».

Dodać trzeba, że informacye ustne zbierał i od Polaków, między innymi od Kraszewskiego.

»Dla lepszego obeznania się z przeszłością — dodaje — badałem archiwa okręgu wojennego i cytadeli warszawskiej, w których znalazłem nietylko miejscowe materyały, lecz i odpisy spraw politycznych z innych zaborów, sporządzone z rozkazu Paskiewicza".

Najważniejszem jednak źródłem były obszerne zeznania dwóch zdrajców, członków Rządu narodowego — Oskara Awejdy i Karola Majewskiego. Zeznania Awejdy, wydrukowane w 30 egzemplarzach, tworzą 4 tomy, zapiski Majewskiego — grubą broszurę.

Zeznania osób, oskarżonych o przestępstwa polityczne i badanych tajnie, są z natury rzeczy materyałem bardzo mało wiarogodnym i niezupełnym, wymagającym ogromnej pracy krytycznej, na ścisłej i starannej konfrontacyi dokumentów opartej, pracy, do której autor nie miał ani czasu, ani odpowiednich zdolności.

Inne źródło urzędowe — raporty naczelników wojskowych, oddawna mają ustaloną a bardzo lichę sławę. Generał Puzyrewskij w dziele, pod powagą generalnego sztabu wydanem, stwierdza ich kłamliwość, sam Berg zresztą kilkakrotnie z ironią zaznacza anegdotę o jednym kozaku rannym. Ma się rozumieć ustne opowiadania tych panów, którzy tak gładko w raportach łgać umieli, w wyjątkowych chyba wypadkach mogły się przyczynić do wyjaśnienia prawdy.

Opis działań wojennych, zarówno powstańców jak wojsk rosyjskich, stanowi najsłabszą część dzieła, autor bowiem nie opanował nawet urzędowego materyału i nie umiał stworzyć dokładnego obrazu tych działań, co zresztą, ze względu na charakter powstania, przedstawiało istotnie wielką trudność.

W tych rozdziałach książki, w których mówi o działaniach wojennych, zamało uwzględnia drukowane źródła polskie, chociaż wogóle dużo z nich korzystał, rozszerzając pierwotny zarys swej pracy

Wpływ zródeł polskich i wynikającego z długiego pobytu w Warszawie gruntownego zapoznania się ze społeczeństwem polskiem jest widoczny zwłaszcza w II i III tomie dzieła i występuje wyraźnie przy porównaniu redakcyi ostatecznej z pierwotną. W I tomie Berg wypowiada nieraz z aplombem płytkie i utarte powszechnie w kołach urzędników rosyjskich poglądy na charakter narodu polskiego i jego dążeń porozbiorowych, W następnych jednak tomach autor staje się poważniejszym, powiedziałbym — rozumniejszym, przynajmniej głębszym i samodzielniejszym.

Rzecz jasna, że autor zawsze i we wszystkiem, co mówi, jest prawdziwym, rdzennym, pomimo niemieckiego pochodzenia swych przodków, Rosyaninem, szczerym w rodzimym stylu moskiewskim patryotą rosyjskim. O tem nienależy na chwilę zapominać. Ale dlatego właśnie poglądy jego i wyrażenia, często brutalne i złośliwe, szyderstwem i lekką pogardą zaprawione, który by nas oburzyły lub ból sprawiały, gdyby z ust Polaka wychodziły — nie bolą dotkliwie a są natomiast bardzo pouczającymi. Dodać zresztą trzeba, że znacznie większą dozą urągania i złośliwej ironii zaprawia charakterystykę rządu i społeczeństwa rosyjskiego i jego stosunku do Polaków.

Przytoczę tu na poparcię powyższego zdania uwagi Berga o reformie policyi warszawskiej, do której w chwili najgorętszej agitacyi rewolucyjnej w mieście powołano »na ochotnika« oficerów gwardyjskich i grenadyerskich.

„Że takich ochotników za cenę dobrych pensyj i perspektywę nagród i awansów nie zbraknie, o tem generał (Witkowski) nie wątpił. Również był pewnym, że to rozporządzenie nie wywoła szemrań, ani niezadowolenia; nikt się ani zawaha, jakby to miało miejsce w każdej innej armii europejskiej, ani spostrzeże, o ile taka czynność licuje z godnością stopnia oficerskiego i wprowadza między oficerów żywioły niestosowne, a może nawet wręcz szkodliwe.

»Mówią, że z całego grona oficerów jeden tylko z litewskiego pułku gwardyi, i to Szwed z rodu, postawił kolegom zapytanie: „a jak w przyszłości mamy się zachowywać względem tych szpiegów i tropicieli zwierzyny ludzkiej, gdy się napowrót znajdą

w naszych szeregach»? Odpowiedzi wyraźnej nie otrzymał — rzecz zaś sama załatwiła się prędko i cicho.

»Jednego z takich bohaterów spotkał zaszczyt, że zaprosił go na objad główny redaktor *Moskiewskich Wiedomosti*, Katkow. W czasie objadu profesor uniwersytetu moskiewskiego, Leontjew wzniósł toast na cześć gościa, następnie zaś pod wpływem tych panów damy z wyższych sfer towarzystwa moskiewskiego ofiarowały bohaterowi wspaniały dywan własnej roboty i obdarzyły go — innymi, cennymi upominkami. W chaosie rosyjskiego wychowania i pojęć wszystko to, niestety, możliwe, proste i naturalne".

Wspominałem już o tak złośliwych, że nielitościwemi nazwać je można, charakterystykach wysokich dygnitarzy i wybitnych działaczów. Żadnemu z nich Berg nie przepuszcza, nawet Milutinowi i Czerkaskiemu, do których ma sympatyę. Oto krótka a dosadna charakterystyka Murawiewa:

„Na przeszłości tego człowieka ciężyło wiele plam i błota. Wiedziano, że szczególnie był doskonały w wykonywaniu roli dzikiego, mongolskiego despoty, otoczonego pochlebcami i niewolnikami. Za to wobec starszych ten sam mongolski satrapa stawał się bardziej cichym niż woda, niższym od trawy, w której pełzał, umiejącym »giąć się we troje" i niezrównanie schlebiać, zwłaszcza gdy chodziło o uzyskanie czegoś dla siebie... To świeże błoto, (mowa o intrygach Murawiewa przeciw uwłaszczeniu włościan i innym reformom) w którem się skąpał przed paru laty, jeszcze nie zaschło, ściekało mu jeszcze strugami po twarzy. A sama jego postać! Cóż to za straszny, mongolski, nawet w Rosyi potworny typ jakiegoś Kamczadala, Czuwasza, Eskimosa lub Samojeda, którego matka zamiast starożytnych posągów klasycznej piękności miała przed oczami psy morskie, wieloryby i białe niedźwiedzie! W portrecie takiego Jermołowa uderza każdego lwi wyraz twarzy, u Murawiewa nasuwa się przedewszystkiem przypomnienie buldoga".

Charakteryzując działalność Murawiewa, Berg pisze:

„Widzimy fakt smutny: zwierzę potrzebujące pastwienia i znęcania się nad ofiarami, które mu się w ręce dostały; człowieka, któremu boleść i jęki, łzy i krew setek i tysięcy bliźnich sprawiają prawdziwą rozkosz, który łamie „meble" nie bezwiednie (jak pijany kupiec moskiewski), lecz zdając sobie doskonale sprawę z tego, co i jak robi, wiedząc również, że „meble" te nie dadzą się już naprawić ani zastąpić innymi. A nie jest on pijany,

tylko, niestety, opanowany inną chorobą, na którą ludzkość nie zna lekarstwa. W myśli u niego jedno jedyne: niszczenie, niszczenie w najrozmaitszy sposób! Znudziło mu się niszczyć ludzi zabrał się do lasów".

Tę barbarzyńską żądzę niszczenia zaznacza autor niejednokrotnie, czy to mówi o burzenia i rabowaniu domu Zamojskiego (T. III. str. 288 290) czy o działalności Milutina, Czerkaskiego i wogóle osławionego „Komitetu urządzającego" (T. III. str. 480 — 419). W jednym i drugim wypadku rozumie doskonale, że są to „rzeczy głupie, komiczne barbarzyńskie, niestety, tak zwykłe, swojskie i codzienne", Ale „burzenie burzeniu nie równe" i to, którego dokonywali radykalni „Murawiewowie, tylko nieco bardziej ucywilizowani, niż bestya wileńska" obrażało, zdaniem Berga, zarówno sprawiedliwość, jak zmysł polityczny, „Zburzyć gmach — powtarza zdanie Koszelewa, dyrektora komisyi skarbu — wznoszony przez wieki, opierający się na niespożytych fundamentach w społeczeństwie, a na jego miejsce zbudować lichą drewnianą budę, którą pierwszy silny podmuch wiatru rozniesie na wsze strony bez śladu — to ani praktycznie, ani politycznie, lecz po prostu głupio«. Ta jednak głupia, barbarzyńska działalność carskich demagogów i reformatorów, chociaż rozumniejsi Rosyanie widzieli jej szkodliwość dla państwa, nie spotykała wcale przeszkód, bo Aleksander II żadnych uwag nie przyjmował. „Cesarz, nie zdając sobie z tego sprawy, dał się opanować uczuciu zemsty, Milutinowski pogląd ukarania szlachty trafił mu do przekonania".

Nie można się dziwić temu, że Aleksander II pałał uczuciem zemsty. W początkach swego panowania chciał on odgrywać rolę liberalnego reformatora, humanitarnego władzcy, „ojca ludów" podwładnych. Powstanie polskie popsuło carowi te sielankowe plany, zmusiło zarówno rząd, jak naród rosyjski, do ujawnienia właściwego ich charakteru, pokazało Europie Rosyę w nagości bezwstydnej instynktów barbarzyńskich.

Ludzie, którym na tem zależało, utrzymywali Aleksandra w usposobieniu mściwem względem Polaków. Szef III oddziału kancelaryi cesarskiej, inaczej korpusu żandarmów, »odgrywający rolę stróża i opiekuna państwa i społeczeństwa, coś w rodzaju weneckiej rady dziesięciu, z tą jedynie różnicą, że był o sto procent głupszy«, postanowił przerazić cesarza, gdy wrogi jego nastrój względem Polaków zaczął słabnąć. Za najlepszy sposób uznano stworzenie w Warszawie nowego rządu narodowego. Uwięzionemu

w cytadeli rytownikowi Tycowi, polecono w r. 1865 zrobić pieczęcie, dokładnie skopiowane z używanych poprzednio, w biurze tajnej policyi ułożono kilka odezw i wydrukowano takowe w drukarni oberpolicmajstra czcionkami, pochodzącemi z zabranej drukarni rewolucyjnej. Z temi edezwami agent Kurniejew udał się do Paryża i znalazł kilku łatwowiernych między emigrantami którzy mu się dali zwabić do Warszawy.

Ma się rozumieć, tych emisaryuszów schwytano, zarządzono śledztwo i ustanowiono «specyalną komisyę“, mającą za zadanie badanie podziemi i katakomb i wyszukiwanie podziemnych przejść. Agentem tej komisyi był znany literat Krestowskij, późniejszy redaktor *Warszawskiego Dniewnika*. Dano mu 1500 rs. pensyi, mieszkanie z 5 pokoi, fotel bezpłatny w teatrze i specyalnie wymyślony mundur oraz do pomocy 10 policyantów. Krestowskij miał prawo wchodzenia do każdego domu, rozbijania ścian, kopania w piwnicach itd. Nikt niekontrolował tego »badacza«, który, ośmieliwszy się, zaczął zaglądać do prawdziwych podziemi klasztornych i rozbijać trumny spoczywających tam dygnitarzy świeckich i duchownych, zapewne w celu rabunku klejnotów. Ta bezczelność przepełniła miarę cierpliwości namiestnika, który zniósł komisyę.

Za pomocą takiego rodzaju środków oddziaływano na cara i za jego aprobatą prowadzono dzieło bezwzględnego burzenia i niszczenia.

Berg, w przeciwieństwie do liberałów rosyjskich, jest w książce swej przeciwnikiem polityki zemsty oraz poniżania i prześladowania warstw inteligentnych. Rozumiał on szkodliwość tej polityki dla interesów państwa i z godną uwagi przenikliwością a zarazem z brutalnym cynizmem pisze dwadzieścia lat temu:

„Chłop tak dobrze jak szlachcic lub inteligencya miejska robiłby rewolucyę, lecz tego nie potrafi, bo jest ciemny, nieukształcony, bydło! Nigdzie to ciemne bydło, najniższa klasa społeczna przyciśnięta do ziemi, nie znająca swej przeszłości, nie odegrała wybitnej roli w przewrotach politycznych, wywoływanych i przygotowywanych zawsze przez wyższe stany. Rewolucye polityczne to nie chłopska rzecz. Lecz podnieście trochę chłopa, oświećcie go cokolwiek, poduczcie, a znajdziecie w nim najlepszy materyął rewulucyjny, jakiego napróżno szukali przewódcy powstania. Dla powodzenia powstania trzeba takich żywiołów ludowych, nie zaś tych, które wegetowały po dworach i dworkach szlacheckich. I taki to mianowicie element starali się wytworzyć z bydła

chłopskiego panowie Milutin, Czerkaskij *et consortes.* Przyjdzie czas, że przyszli rewolucyoniści wypowiedzą tym reformatorom swą wdzięczność".

A że ci rewolucyoniści rychło się zjawią, Berg nie wątpił wówczas, gdy dzieło swe pisał, i gdy Polska, wyczerpana upływem krwi, zrujnowana robotą burzycielską, zgnębiona uciskiem, zdawała się na długo uspokojoną, ubezwładnioną. „Epilog" dzieła Berga, zawierający krótki wywód historyozoficzno-polityczny jest jak słusznie tłómacz zaznacza, „antydatowaną odpowiedzią« na mrzonki naszych ugodowców Ten wywód, śmiało i stanowczo napisany, zwłaszcza zakończenie jego i my Polacy podpisać bez zastrzeżeń możemy.!

»Czy uległy jakiejkolwiek zmianie porozbiorowe aspiracye polityczne Polaków — pyta autor — czy też może wszystko pozostało, jak było przed i w czasie powstania 1863 roku?»

„Niestety, musimy wyznać, że nic się nie zmieniło.

»A jak Rosya ma przyjmować te oświadczenia przyjaźni i wierności, te objawy jakoby żalu i skruchy za grzechy przeszłości, te zapewnienia, że się one już więcej nie powtórzą.?

„Jak? — Nie wierzyć im!

»Polacy, czy to w Królestwie Polskiem, czy na Litwie i Rusi, nie przestaną być nigdy Polakami takimi, jakimi ich widziało już kilka pokoleń rosyjskich. Zawsze oni w głębi swych serc żywić będą te same nadzieje, te same marzenia i niepozbędą się swej nienawiści do wszystkiego, co rosyjskie. I jak ich przodkowie, tak i następne pokolenia nie dadzą się wyleczyć żadnymi zawodami i klęskami, żadną niesumiennością polityki zachodniej, żadnemi konfiskatami majątków, wieszaniami i zsyłkami na Sybir. Takie jest nasze najgłębsze przeświadczenie".

I nasze również.

»Przy zmianie stosunków w Rosyi — powiada Berg — można nimi lepiej rządzić, można ostatecznie osiągnąć, że przestaną uważać Rosyan za Mongołów i barbarzyńców, za swego pierwszego i głównego wroga. Lecz w zupełności ich zadowolnić — jest dla Rosyi niepodobieństwem. Jest to tak samo próżne marzenie jak zlanie się Polski i Rosyi w jeden bratni naród.

«Nowa Rosya, jakikolwiek ustój przybierze, pozostanie dla Polaków tem, czem była dawna i teraźniejsza, to jest nieubłaganym wrogiem. B ę d z i e t a k s a m o g n ę b i ć i c h i p o s k r a m i a ć b e z l i t o ś c i. Pozbądźmy się złudzeń!

»Na ogromnych przestrzeniach, między Baltykiem a Morzem Czarnem, między Uralem a Zachodnią Europą d w ó c h p a n ó w

być nie może. Rosya lub Polska musi wyłącznie gospodarzyć.

»My — albo oni! Innego rozwiązania nie ma i być ieu może«.

Tak mówi człowiek szczery, tak mówi przyrodzony instynkt polityczny i historya obu narodów. Ale, niestety, my tego głosu instynktu i głosu historyi nie słyszemy, albo nawet słyszeć nie chcemy umyślnie, zagłuszając go sofistycznemi rozumowaniami, byle nie znaleźć się wobec tej alternatywy — my albo oni. Bo uprzytomnienie sobie tej alternatywy wymaga w następstwie dalszem systematycznego wytężania energii myśli i pracy ofiarnej.

J. N..i

Z ŻYCIA MŁODEGO POKOLENIA.

Władysław Zdora: Fuimus, powieść. Kraków.

Rozbitek powstaniowej burzy oparł się w jakiejś litewskie mieścinie. Przeszedł przez rózgi upokorzeń i nienawiści, przez ognie wstydu nędzarza, dotarł wreszcie do cichej ostoi znośnego bytu; został adwokatem prywatnym. Ale w sercu jego po wielkich zapałach wystygły nawet popioły, robak zawiści zgryzł je i stoczył, aż spróchniało do szczętu, a w duszy adwokata, ocierającego się ciągle o złość i przewrotność ludzką, pozostały tylko dwa promyki jasne: miłość rodziny i natury. Ukochania i ideały, które go niegdyś do katorgi zaprowadziły, zamieniły się w beznadziejne zwątpienie i rezygnacyę, co swój wyraz znalazła w jednem słowie „fuimus“! Skrystalizowało się w niem ostateczne zwątpienie o przyszłości narodowej, o wartośei dążeń do niepodległości, wreszcie o znaczeniu życiowego idealizmu, który raz na zawsze z serca byłego powstańca uleciał. Zatruły mu duszę gorycze zawodów, jad zawiści. Gdyby nie „głupstwo“, stanąłby wysoko, bo zdolności posiadał niepospolite, patrzyłby z góry na tych, co dziś nim pomiatają. Pozostała mu jedna nadzieja: niepowodzenia jego powetuje syn — Janek. Ten nie powinien pozwolić „zapluć sobie kaszy ideałami«. Ojciec będzie go trzymać zdala od tych ideałów, nie nauczy kochać złowrogiej ojczyzny. bądzie głuszył paszczykowem „fuimus“ wszelkie porywy zapału

Ale Janek ma już z natury serce gorące, głowę egzaltowaną przywykł kąpać się w złotem słońcu miłości, jaką go najbliżsi

otaczają, pragnie też dokoła siebie roztaczać miłość i szczęście. Serce jego zwraca się najpierw ku najbliższym, to też Janek marzy o założeniu «kolosalnego“ biura adwokackiego, o szczęściu siostry i dziadka, o wypoczynku ojca. Młoda energiczna dusza nie zatrzymuje się u progu rodzinnego domostwa, leci dalej ku szerokiemu ogółowi, ku ludzkości, ku płomiennym słupom wielkich idei. W piękny wieczór letni, patrząc na rozściełające się u stóp Wilno, Janek spowiada się z gorących marzeń przed swym przyjacielem Malinowskim: „chcę szczęścia dla wszystkich, nie dla mnie, ale dla całej ludzkości«.

»Będę pracował, walczył, cierpiał, do ostatka, do ostatniego tchnienia — dla nich, dla świata. Mogę paść i zginąć, nic nie dokonawszy, ale samolubem nie stanę się nigdy«.

Nie zrozumiał go wprawdzie Malinowski, pozytywna, trzeźwa głowa, to też przyjaciele rozeszli się chłodni, obojętni dla siebie. Ale Janek spotkał innych przyjaciół, którzy potrafili zużytkować jego napięcie duchowe. Na koleżeńskiem zebraniu Janek poznał Zakrzewskiego, socyalistę kosmopolityczno-utopijnego, który zwalczał ideały patryotyczne młodzieży polskiej, wskazywał »święte hasła« powszechnego braterstwa wolności i równości. Kosmopolityczne hasła tem łatwiej znalazły przystęp do duszy Janka, że nie uczono go kochać ojczyzny.

Przebieg dziejów serc gorących i głów zapalonych jest dość jednostajny w państwie białego cara. Tajna organizacya, aresztowanie, więzienie, zsyłka — oto główne etapy, przez jakie przebiegają apostołowie szczęścia ludzkości. Janek dotarł do rosyjskiej partyi rewolucyonistów.

Nie zadawalniał go ani chłodno — rozumowy system socyalistów, ani hasło uczciwego patryotyzmu, którego nie odczuwał: nie nęciły go ciche, codzienne wysiłki społecznego pracownika, co wie, że owoce całego życia jednostki są zaledwie drobnym przyczynkiem do sumy ogólnego dobra. Janek pragnął jednego wielkiego czynu, jednego płomiennego wybuchu, po którym odmłodzony świat w nową szatę się ubierze. Zdawało mu się, że rosyjscy rewolucyoniści są właśnie powołani do tego wielkiego dziejowego przewrotu.

Rozczarowanie przyszło rychło.

Partya składała się z elementów zbyt różnorodnych.

Widzimy w niej »generała“, który pieniędzmi podtrzymuje omdlewający ruch, nie wierzy zupełnie w jego ideowe znaczenie, a na hasardy konspiracyi wystawia się dlatego, że daje mu to

pewną sumę silnych emocyi, że zresztą »gniewa go głupota tego durnia, który uważa siebie za pomazańca, i głupota tłumów, które się przed nim korzą“.

Obok niego mamy patryotę-narodnika, który marzy; „jeśli oświecimy naszego chłopa i czynowników weźmiemy za czuby, to tak Rosya zakwitnie, że i Europę prześcignie«... Około tejże organizacyi grupują się teoretycy socyaliści, którzy gotowi są czekać, aż naturalna ewolucya przemysłowa wytworzy w Rosyi proletaryat fabryczny, a za nim kolektywizm; wreszcie ludzie, których temperament, nie znosi uzdy »błahonadieżnosti“, dla których jest potrzebą psychiczną życie wśród ciemnych skrytek tajnej, zaciekle przez rząd prześladowanej organizacyi. Siły partyi są już wyczerpane, organizacya nie może się zdobyć na żaden czyn donioślejszy, topnieje z dniem każdym, bo nie ma gruntu pod nogami w usposobieniu ludu, który po dawnemu wierzy w swe bożyszcze — cara.

»Cały naród jest po naszej stronie: lud, urzędnicy, szlachta« mówi żandarm do Janka podczas badania, „lud i jeszcze raz lud ten lud, na którym pokładaliście tak wielkie nadzieje. Jedno słowo — wypowiedziane w porę — a rozszarpałyby was zgraje tego miasta, gniewne i dzikie“. Janek wie, że to nie są czcze przechwałki, to też z głębi duszy wyrywa mu się westchnienie: »Straszna potęga. straszna siła złego«.

Ale już dawno, przed aresztowaniem zniechęcenie zawitało do duszy Janka. Widział, że z partyą nie dokona niczego, postanowił więc zginąć, lecz przedtem czynem jakimś okupić swoją egzystencyę. Postanowił zabić zwierzęco — pięknego komisarza policyi, którego nienawidził oddawna. Był to główny agent policyi, tropiącej przestępów politycznych. Janek wybrał się doń z rewolwerem w kieszeni. Ale jęki chorej żony komisarza, które go dochodziły z drugiego pokoju, poruszyły jego serce; nie był stworzony na rewolucyonistę.

Powoli w duszy Janka budzić slę poczęły tłumione dotychczas pragnienia osobistego szczęścia. Oddawna już zerwał z rodziną, gdyż ojciec nie chciał znać syna, hodującego w sercu idealne »mrzonki“; tem goręcej odczuwał Janek potrzebę miłości. Zdawało mu się, że znalazł miłość i szczęście w stosunku z Rosyanką kursistką, ale pierwsze jej wyznanie i pierwszy pocałunek przekonały go, że szukał czegoś innego. Kursistka kochała w Janku bohatera działacza, a w nim domagały się zaspokojeni te najgłębsze, najbardziej osobiste pragnienia duszy, które nie

znajdują ujścia w owocnej nawet ideowej pracy. Kursistka kochała go mózgiem, a on pragnął miłości współczającego, dobrego, kobiecego serca, co kochałoby nie tylko jego siłę, energię i rozum, ale także jego słabość, rozterki i cierpienia. Zniechęcenie wgryzało mu się coraz głębiej w duszę, Janek szedł po dawnej drodze jedynie nabytą siłą dawnego rozpędu. Aż zatrzyma się w więziennej celi.

Był to grom nieszczęścia dla starego ojca. Nie udał mu się syn ludzie odwracać się odeń poczęli, jak od zapowietrzonego. Wkrótce stracił prawie wszystkich klientów, bo sprawy ciągle przegrywał: sędzia mścił się na ojcu buntowszczyka. Ruina materyalna, a jednocześnie ruina wszystkich marzeń i nadziei... Nie przeżył tego stary adwokat. Powiesił się pod oknami sędziego, pragnąc nawet swoją śmiercią dokuczyć znienawidzonemu wrogowi.

Janek tymczasem męczył się wśród czterech ścian swej celi. Z głębokiem odczuciem i prawdziwym talentem maluje autor tę powolną agonię duszy, rwące pragnienia powietrza, ruchu, barw, wolności... Rozpaczliwe wysiłki chorego mózgu, co kurczowo chwyta się skraju świadomości, aby nie runąć w ciemną otchłań obłędu; uroczna przepaść ciągnie z nieπartą siłą, światoma jaźn leci w bezdenne głębiny...

Janek wyzdrowiał jednak po atakach obłędu i został wysłany do Syberyi.

Pociąg pędzi w dal, Janek upaja się widokiem przestrzeni, szerokich horyzontów, nieba i słońca, lasów i pól, barw i światła. W duszy jego odbywa się głęboki przewrót. Rozprzęgły sie ogniwa dawnych wierzeń. Janek robi rachunek z przeżytego okresu. »Z cudnych myśli, z pożyczonych zdań i ze steku frazesów uroiłem sobie świat, urojenia swoje zapragnąłem narzucić ludzkości i gniewny byłem o to, że w budownictwie swojem napotykałem przeszkody.

»Nienawidziłem, a nie umiałem kochać. miłość nie mieszkała we mnie i siły twórczej nie miałem. Nie kochałem życia. Sercem potrzeba mi było przejąć mroki i bole jego, smutki i radości, dobro i zło, głos z serca wydobyć i ogień z serca rozpalić“... A jednocześnie przed oczyma staje mu wizya ziemi ojczystej i jej siermiężnych, pracujących a ciemnych mieszkańców.

Czy wróci Janek? Czy wejdzie na nową drogę życia? Czy płomień miłości ojczyzny, pragnienie pracy dla swoich i wśród swoich nie zgaśnie w jego duszy? Nie wiemy.

Pociąg unosi Janka na daleki Wschód.

Poprzednia analiza duszy Janka nie pozwala nam z zupełną pewnością sformułować odpowiedzi. Janek nie jest człowiekiem żelaznym, zbywa mu nawet na najważniejszej podstawie bohaterstwa: prostocie: Wydaje nam się, że autor postawił go na jakieś duchowe szczudła, tak dumnie wznosi Janek głowę przyszłego męczennika, tak łatwo w wyobraźni jego zapalają się świetlane aureole wielkości... A ludzie prawdziwie wielcy poprostu kochają, pracują i cierpią i nie myślą o własnem bohaterstwie. Patetyczność nie jest wzniosłością, a Janek jest często sztucznie patetyczny i deklamatorski. Ale dokładnego poczucia artystycznej miary nie możemy wymagać od młodego autora, a powieść „Fuimus» jest, jeśli się nie mylę, pierwszą pracą p. Zdory. W każdym razie już w tej powieści występują wybitnie cechy prawdziwego, samoistnego talentu. Nie jest to talent plastyczny. Postacie powieści nie narzucają się wyobraźni naszej jako osoby żywe z całą różnolitością cech fizycznych i umysłowych. I w duszy i w twarzy tych postaci autor widzi zwykle jeden lub dwa rysy znamienne: grupy nos i okulary „generała“, proste brwi i wysokie czoło kursistki, uszminkowane tłuste policzki kobiety — szpiega. Zresztą wszystkie te postacie majaczą jak cienie przed oczyma wyobraźni. Ale brak plastyki wynagradza autor trafną niekiedy subtelną i głęboką analizą psychiczną.

Żandarmi stukają do drzwi Janka:

„Nie spał jeszcze, ale już z sennem przerażeniem zerwał się siadł na łóżku, posłyszawszy dzwonek i dobijanie się do drzwi...

»Ogarnęła go w pierwszej chwili straszna, niezapomniana trwoga i chęć ucieczki. Kilka szalonych myśli przebiegło przez głowę.

»Wyskoczyć przez okno, zatarasować drzwi, spalić paczkę...? Wszystko to niemożebne! Wówczas chwycił nagle poduszkę i z całych sił przycisnął ją do siebie“...

Przed bystrym wzrokiem autora nie uszedł więc odruch trwogi, który w stanowczej chwili paraliżuje na sekuudę nawet mężne serca. Widocznie p. Zdora potrafi zajrzeć głęboko w duszę ludzką, potrafi znaleźć tam nawet utajone podziemne kurytarze i skrytki.

Aes.

W SPRAWIE LEGIONÓW.

W tej sprawie, która zajęła wielu czytelników nzszych, zamieszczamy niżej dosłownie list włościanina z powiatu tarnobrzeskiego, p. Wojciecha Wiącka, opuszczając tylko pochlebne słowa uznania dla naszego pisma. W polemice z powodu projektu utworzenia legionów kilkakrotnie spotkaliśmy się z zarzutem, że byłoby to karygodnem i lekkomyślnem szafowaniem krwi ludu polskiego. Tym sentymentalnym humanistom, których perspektywa przelewania krwi tak przeraża i którzy występują w roli troskliwych opiekunów ludu, p. Wiącek odpowiada trzeźwo i rozumnie, jak szczery chłop polski, jak człowiek, zahartowany ciężką pracą i walką ciągłą z trudnymi warunkami życia.

List zasługuje na uważne odczytanie z innego też względu, zawiera bowiem pobieżną wprawdzie ale w wielu punktach trafną charakterystykę usposobienia ludu polskiego w Galicyi i fermentu politycznego, który dziś masy ludowe podnosi i burzy. Nie jest to obserwacya dziennikarska, ale wynik rozmyślań i spostrzeżeń człowieka, który z ludem żyje i w działalności publicznej bierze udział dosyć czynny.

»Czytając *Przegląd Wszechpolski*, organ narodowy, znalazłem w Nr. 7 z lipca br. artykuł o legionach polskich. Każde słowo w artykule warte dyamentowej oprawy. Nieośmieliłbym się pisać w tej sprawie jako wieśniak, ale czekając, co inni powiedzą, przekonałem się, że pisma polskie niektóre krytykują myśl o legionach i to tylko w krótkości.

Jest to znak, że te pisma nie mają charakteru ludzkości i polskości bo o Dreyfusie głupim i temuż podobnym to się rozpisują latami i każdy numer gazety zapełniają o takich mężach, co dla polskiej sprawy nie uczynią ani torby sieczki, jak to po chłopsku mówimy.

Skonfiskowano.

Skonfiskowano.

Każdy kto chce, weźmie go w swoje ręce jak dziecko: dać mu lalkę a pokazać zwierciadło, to rzuci lalkę, podać brzytwę, to rzuci zwierciadło a pokazać chleb -- to wszystko rzuca i pędzi do chleba, bo głodny. Podzielono lud na 13 stronnictw, w których wszędzie jest co innego. Trochę lud rozumie życie polityczne w Galicyi i walkę prowadzi, ale tylko podczas wyborów i na tem koniec.

Idee narodowe, zwyczaje i mowa polska są u ludu rzeczą obojętną. Każdy kocha siebie i swoje pole, zwyczaje już zarzucają, mowę polską przekręcają w Galicyi na niemiecką i gdy który wróci z wojska lub z Prus, to paple po niemiecku, a w Królestwie po moskiewsku. Ubiory już w połowie zmienione; a gdzie jeszcze noszą, to nie z przekonania wewnętrznego ani obowiązku, ot tak dla mody i względów, nawet bez rozumienia, że taki a taki ubiór lepszy. Co do religii, to opisać nawet niepodobna. Lud wcale nie ma pojęcia co to religia, zabobonnie prowadzony zewnętrzną pobożnością i znakami religijnymi, a czego dowodem są przesądy kradzieże, zabójstwa i t. d. Cnót chrześcijańskich ani śladu, stokroć gorzej jak opisuje w *Przeglądzie* ksiądz w liście do księży. Szlachetności i miłości bliźniego uczą sądy i żandarmi ale nie księża, czego dowód był podczas rozruchów antysemickich, i w każdej chwili pokazałby się, gdyby nie było władzy, z tego zaś wynika, że duchowieństwo nie umie prowadzić ludu.

Wady powyższe nie tak jeszcze groźne ale sprawa walki o niepodległość jest straszna. W Galicyi tak rzecz stoi: gdyby w tym roku powstanie wybuchło przeciw Moskalowi, to najpierw szlachta żydzi i księża uciekną: coby uciec nie zdołało lub nie mogło, biliby czołem przed słowiańską ideą. Zresztą im wszędzie jedno aby brzuchy i kieszenie wypchać. Socyaliści z ludowcami poszliby do walki za wolność, ale nie wszyscy. Związkowcy prosiliby z czapką w ręce w pokorze o legalność*).

Chłopi starzy uciekliby do kościołów i lasów, tam płakali, modlili się i za pieniądze lub wódkę wydawaliby powstańców w ręce wrogów. Starzy są jeszcze tak cesarscy, że gdyby starostwa poleciły bić powstańców — toby bili.

Największą rolę odegrałby ks. Stojałowski ze swymi braćmi z pod sztandaru Chrystusowego, gdyby tylko car batiuszka nie dał nawet ale tylko obiecał Stojałowskiemu biskupstwo nad po-

---

8) Stronnictwo ludowe zachowawcze p. n. Związek chłopski.

pami, toby zaraz ogłosił swym braciom, że trzeba iść z carem bo da po 3 morgi chłopom a szlachcie dwory odbierze. Wtenczas to całe masy stojałowczyków, których jest tysiące jeszcze, nie zważając, że Moskale są wrogami, zerwaliby się hurmem i z zasad chrześcijańskich swego wodza wymordowaliby braci chłopów i panów, którzyby szli na woinę o ich wolność i niepodległość ojczyzny. Do Stojałowczyków przyłączyliby się Rusini galicyjscy i gdyby im Stojałowski powiedział, że u Moskala nie będą płacić podatku to ci katolicy, rzekomi, Polacy poszliby rabować nawet Warszawę i kościoły.

Skonfiskowano.

Chłopi w Królestwie nad Wisłą — to prawdziwe tumany, każdy niemal umie na pamięć modlitwę za cara i jego dzieci; są wyjątki ale to kropla w morzu.

O takiej walce, jaką toczą Boerowie, dawniej Amerykanie lub nawet obecnie Czechy, to wcale nie ma mowy. Lud zaniedbany moralnie, że tylko płakać; lud ten czuje nienawiść do wszystkiej szlachty, obecnie i do inteligencyi i księży, a nie chce uwierzyć i uznać, że sam sobie przyczyną wielkiej niedoli w dzisiejszych czasach

Nie mamy szkół, nie mamy takiej władzy krajowej, któraby starała się o lud, aby ten podniósł się moralnie i materyalnie, aby czuł się ludem polskim i w tej myśli pracował dla dobra swojej ojczyzny i narodu!...

Darujcie bracia, że odrobinę wykazałem czarną noc naszą, lecz to nic nie zaszkodzi, miejmy nadzieję, że się to wszystko zmieni na korzyść narodową.

Wiemy bardzo dobrze, że choćby noc była najciemniejsza i burzliwa, to zawsze zaświtać dzień musi i pogoda nastanie, i u nas chociaż straszny stan, lecz młodzież już inaczej czuje, myśli i pragnie. Nawet gdzieniegdzie to radość wielka, bo lud młody kocha ojczyznę, ale koniecznie potrzeba coś robić, aby młodzież nie zginęła pomiędzy starymi i konserwatystami lojalnymi.

Skonfiskowano.

Skonfiskowano.

Wojciech Wiącek, rolnik z Machowa.

Z CAŁEJ POLSKI.

Prasa galicyjska i poznańska o Imeretyńskim. Korespondencye warszawskie „Słowa polskiego". Niepoprawni. Kilka uwag z powodu wyborów galicyjskich.

Nie będę charakteryzować osoby i rządów Imeretyńskiego, czytelnicy nasi mają bowiem ustalone pojęcie o działalności niedawno zmarłego generał gubernatora, a korespondenci warszawscy oświetlą jeszcze nieraz jej właściwości i wyniki. Natomiast chcę zwrócić uwagę na zachowanie się w tym wypadku prasy galicyjskiej i poznańskiej, która rozpisywała się obszernie o Imeretyńskim.

Ma się rozumieć pisma, które broniły i bronią polityki ugodowej, rzuciły na świeżą mogiłę wyrazy żalu i współczucia, przyznały Imere-

tyńskiemu tytuł »przyjaciela Polaków« i z uznaniem, nie pozbawionem jednak pewnej dozy goryczy, oceniły jego politykę Ma się rozumieć, *Dziennik poznański*, który spadł niżej poziomu pospolitej głupoty i pospolitej nikczemności, zamieścił artykuł, który śmiało mógł wydrukować *Warszawskij Dniownik*. Ale *Czas* był już powściągliwszym w wyrażeniach żalu i dodał mniej lub więcej wyraźne zastrzeżenia. Nic dziwnego, rozsądniejsi ugodowcy muszą czuć żal do Imeretyńskiego, że swojem postępowaniem, a zwłaszcza swoim »Memoryałem« popsuł im robotę, w którą tyle nadziei włożyli.

Wszystkie jednak pisma zakordonowe przewyższyło w nikczemności i głupocie lwowskie *Słowo polskie*, do niedawna organ p. Nawrockiego, a obecnie organ p. Zapolskiej. Odkąd ta »publicystyczna (proszę nie opuszczać żadnej litery) dama« objęła redakcyę *Słowa polskiego* zaczęły pojawiać się w tem piśmie korespondencye warszawskie, czasem jak gdyby inspirowane przez dawnych p. Zapolskiej znajomych i wielbicieli jej, że tak powiem, talentu, należących do »oddzielnego korpusu żandarmów.“

W artykułach korespondenta, podpisanego T e n, podających pierwsze wiadomości o zgonie Imeretyńskiego tonem panującym jest głupota reportera brukowego, sprowadzającego cały stosunek polsko-rosyjski i wogóle całą politykę do kwestyi drobnych szykan administracyjnych a raczej policyjnych i zajść z oficerami lub czynownikami w miejscach publicznych.

»Śmierć księcia zaskoczyła Warszawę znienacka. Na ogół czuć oddźwięk sympatyi, jaką wogóle miano dla Imeretyńskiego. Prawda — zarzucano mu wogóle, że w ostatnich czasach ulegał partyi konserwatywnej rosyjskiej. Atoli faktem jest, że książę był człowiekiem uczciwym i bezstronnym, choć ściśle przestrzegającym państwowości.

»Śród Polaków miał wielu przyjacioł, a niechęci nie spotykał wcale. Za jego rządów Królestwo wyzbyło się wielu figur, które na bieg życia i rozwoju społecznego działały ujemnie, którzy byli apostołami bezprawia, nadużyć i dziczyzny. Sanacya, przedsięwzięta przez Imeretyńskiego, nie była zupełną, lecz przezeń została zapoczątkowaną. Imeretyński dobrze życzył Królestwu, nigdy nie odmawiał swego współdziałania w przedsiębraniu środków, dążących do pożytku. Nie podejrzywał i nie szukał złego tam, gdzie go nie było. Wielokrotnie ujmował się za Królestwem, dbał o rozwój jego ekonomiczny. Bezwątpienia, równocześnie był nieubłaganym wykonawcą programu państwowego, lecz obok tego nie przestawał być człowiekiem. Trudno na razie uprzytomnić sobie d o b r o d z i e j s t w a, które zawdzięcza Królestwo Imeretyńskiemu — lecz zanotuję tu — pomnik Mickiewicza, Towarzystwo artystyczne, Kasę

literacką, »Pogotowie«, Kuchnie ruchome, Towarzystwo pomocy dla nieuleczalnych, kolej kaliską, kolej suwalską, Politechnikę, cały szereg przytułków i filantropijnych instytucyj, ulżenie w stosunkach prasowych, wydanie około dziesięciu koncesyj na nowe pisma itd itd. A należy nie zapominać, że każda koncesya, każdy przepis, zezwolenie opierało się zawsze o niego i że za czasów Hurki cykliści byli uważani za... przyszłą kawaleryę powstania, a wioślarzy naszych otaczano szpiegami i prześladowano.«

Autor tego panegiryku, sądząc z inteligencyi prawdopodobnie »dzielny wioślarz« lub »sprężysty cyklista«, do dobrodziejstw, wyświadczonych przez Imeretyńskiego, powinien dodać: zabawy ludowe z charakterem rusyfikacyjnym, założenie herbaciarni z gazetami rosyjskiemi, bibliotek polsko-rosyjskich dla ludu i wydawanie rządowej *Oświaty*, zastosowanie do Królestwa barbarzyńskiego ukazu o tajnem nauczaniu, zaprowadzenie specyalnej tajnej policyi t. zw. *Ochrany*, narzucenie ochotniczym strażom ogniowym komendy rosyjskiej, nakazanie sądom wojskowym wydania 8 wyroków śmierci na robotników-socyalistów itd

Gdyby nawet to wszystko, co na *plus* Imeretyńskiego zaliczył, było prawdą, to te *minusy* przeważyłyby szalę sądu. Ale i plusy przeważnie są wątpliwe, dosyć wymienić sprawę pomnika Mickiewicza i rzekome ulgi dla prasy, których mógł dopatrzeć chyba publicysta, pracujący w dziale »wiadomości policyjnych« w kuryerkach.

Rzecz jasna, że taki pan od wiosła lub rowera nie może nawet zrozumieć szkodliwości dla nas zręcznej istotnie i przewrotnej polityki Imeretyńskiego. Nie rozumie — ale tej polityki, a raczej jej twórcy broni, ile mu słaby dowcip pozwala.

»Imerytyńskiemu — woła — nie mogą darować założenia Oświaty — cyrkularza o tajnem nauczaniu — i chęci wywołania w społeczeństwie polskiem rozdwojenia przez popieranie tak zwanej partyi ugodowej. Wiele by o tem można powiedzieć — to pewna, jak to zauważyłem, że Imeretyński był zawsze wiernym polityce państwowej, trzymał się zasady, że raz utopionego noża nie można wyciągać ale i drażnić ran zadanych się nie godzi

»Nadto każdy mieszkaniec Królestwa pod rządami księcia czuł, że istnieje jakieś prawo, które go obroni przed rozbojem małych piesków — podczas, gdy za Hurki pierwszy lepszy opryszek w mundurze lub czapce z gwiazdą, miał i musiał mieć racyę«.

Wszystko to jest wierutnym fałszem. Z korespondencyi naszego pisma, *Nowej Reformy* nawet dawniejszych *Słowa Polskiego* przytoczyć można mnóstwo faktów brutalnej samowoli Imeretyńskiego. Znana jest w Warszawie historya awantury z oficerami gwardyjskimi, dzika swa-

wola w teatrze we Włocławku itd. »Zbiór rozkazów i rozporządzeń generał-gubernatora warszawskiego« zawiera w każdym numerze kilkadziesiąt okazów samowoli, stosowanej do wszystkich klas społeczeństwa polskiego. Na parę dni przed śmiercią Imeretyńskiego nawet *Czas* z tego powodu wyrażał oburzenie.

Ale to są kwiatki skromne w porównaniu z bukietem, uwitym z korespondencyj drugiego informatora, p. Światowida, który tak pisze

»*Nowoje Wremia* nazywa Królestwo krajem »uspokojonym«. Jest to wyrażenie błędne — bo Królestwo jest w tej chwili w przekonaniu iż nareszcie nadszedł dlań czas, że przestanie być igraszką dziczyzny rozhukanych oficerków — stąd uspokojenie umysłów i równowaga. Ale niestety, obok tego jesteśmy poniekąd rozgoryczeni, ponieważ nasze mówienia szczere a myśli uczciwe nie znalazły w czasie pobytu cara w Warszawie takiego przyjęcia, na jakie zasługiwały. Był to błąd ze strony polityki rosyjskiej, bo za cenę drobnych ustępstw mogła była pozyskać w Polakach wiernego sprzymierzeńca. Ta zaś zimna, ceremonialniość, która miała otrzeźwić pijane marzeniami umysły, zmroziła serca i wywołała rozczarowanie«.

A więc główną, jeżeli nie jedyną przyczyną anormalności stosunków polsko-rosyjskich jest »swawola“ rozhukanych oficerków i poskromienie jej przywraca spokój w kraju i równowagę umysłów. Nie myślę bronić oficerów rosyjskich i przyznaję, że wielu jest między nimi barbarzyńców i brutalów, skłonnych do dzikich wybryków, zwłaszcza po pijanemu, a więc przedewszystkiem w restauracyach i domach publicznych. Ale chyba tylko stałemu gościowi tych lokalów przyjść może do głowy, że ta swawola jest najbardziej bolącem miejscem stosunku Polaków do Rosyi. Po za obrębem restauracyi i domów publicznych oficerowie rosyjscy nie stykają się prawie wcale ze społeczeństwem polskiem i słuszność wyznać każe, że bodaj mniej dają powodów do awantur, niż np. przyzwoici oficerowie austryaccy.

Nie można iść dalej w głupocie, niż idzie p. Światowid, ale można zajść dalej w podłości, ubolewając z nim, że »rząd rosyjski za cenę drobnych ustępstw nie umiał pozyskać w Polakach wiernego sprzymierzeńca«, że „zimna ceremonialność zmroziła serca i wywołała rozczarowanie«.

Tak rozumować może przecie chyba Moskal, który w polityce ugodowej widzi tylko wędkę do chwytania Polaków na rzecz państwowości rosyjskiej i gniewa się, że »zimna ceremonialność« sfer rządowych zaszkodziła doprowadzeniu do skutku tego chytrego pomysłu. Nawet

najlojalniejszy Polak-ugodowiec tego rodzaju argumentów nie użyje Jeżeli nie polityk rosyjski w rodzaju pułkownika żandarmów Magrafskiego, to jedynie Polak, ogłupiony i spodlony niewolą, mógł coś podobnego napisać, a jedynie organ p. Nawrockiego i p. Zapolskiego mógł coś podobnego wydrukować.

Głupota polityczna ugodowców nie dosięga tych szczytów naiwności i bezczelności, chociaż wogóle zbliża się do nich na nie wielką metę.

— Pisząc o wyborach w okręgu babimojsko — międzyrzeckim, wspomnieliśmy o hr. Macieju Mielżyńskim, którego pisma poznańskie, przedstawiały jako młodą siłę polityczną, chwaląc jego energię i gorliwość obywatelską oraz niepoślednią inteligencyę. Wybory w tym okręgu były z tego względu ciekawe, bo zwykle głosowali tam razem Polacy z katolikami Niemcami na jednego kandydata, w ostatnich latach zwykle na centrowca. I obecnie centrum poleciło wyborcom p. Chrzanowskiego, p. Mielżyński zaś starał się o zjednanie katolików niemieckich dla tej kandydatury.

Niektóre pisma, jak *Goniec* i *Praca*, potępiły, zdaniem ich, nienaturalny sojusz, dowodząc, że dla sprawy naszej większą ma wartość agitacya w duchu narodowym, aniżeli wypadkowe zwycięztwo kandydata, dzięki głosom niemieckim. *Orędownik*, który zawsze stał na tem stanowisku, nie wystąpił jednak tym razem przeciw sojuszowi z centrum i, akcentując narodowy charakter walki wyborczej, chwalił zarazem zmysł polityczny hr. Mielżyńskiego. Ma się rozumieć klerykalny *Kuryer Poznański* wpadł w zachwyt i zaczął przepowiadać pogrom wroga, który usiłuje wykopać przepaść między polskimi a niemieckimi katolikami. P. Chrzanowski upadł — brakowało mu zaledwie kilkuset jakichś głosów, bo go katolicy niemieccy nie poparli, jak to szczegółowa statystyka wyborcza wykazuje. Ale nawet ten fakt nie oddziałał na hr. Mielżyńskiego, przeciwnie, tak go agitacya wyborcza podnieciła, a pochwały *Orędownika* zawróciły mu w głowie. że odrazu nakreślił program jedynie rozumnej polityki polskiej.

»Agitacya w międzyrzecko babimojskim okręgu dała nam okazyę zbliżenia się do centrum i zaznaczenia jasno i dobitnie naszego stanowiska wobec partyi niemiecko-katolickiej w całych Niemczech. Nawzajem też dała ona przewódzcom Centrum okazyę zamanifestowania wszem w obec obrony zasad sprawiedliwości ogólno-ludzkiej. Kto nie jest pozbawiony zmysłu politycznego, musi uznać, że tylko idąc ręka w rękę z Centrum, my Polacy możemy coś zdziałać«.

Pan hrabia się przekonał, że możemy liczyć na centrum, »nie zrzekając się swych praw narodowych jako Polacy«, bo to stronnictwo

„w uszczupleniu naszych praw przyrodzonych widzi właśnie niebezpieczeństwo dla wiary«. To przekonanie opiera p. Mielżyński na fakcie, że Centrum nie żądało, abyśmy postawili kandydaturę katolika Niemca.

Istotnie nie żądało, bo istniała formalna umowa, że na przemian kandyduje w tym okręgu Polak lub Niemiec katolik, a teraz wypadła kolej na Polaka.

Frazes o poszanowaniu „przyrodzonych praw narodowych« przez Centrum wygłosił p. Mielżyński wtedy właśnie, gdy organ katolików niemieckich (*Germania*) wystąpił namiętnie przeciw »agitacyi polskiej na Śląsku«.

Takie sprzeczności polityków arystokratycznych nie obchodzą wcale, mają oni swoją specyalną logikę i specyalną hrabiowską inteligencyę. Więc i p. Mielżyński, nie skonfundowany bynajmniej, pędzi dalej:

»Sojusz nasz z centrum powinien być stałym, nieodzownym i nie wynikającym tylko z chwilowych potrzeb. Nieporozumienie, albo chwilowe mniejsze zatargi z niemieckimi katolikami, które po większej części są dziełem panów szownistów, siejących wiecznie rozbrat pomiędzy Niemcami katolikami a Polakami, powinny być zawsze załatwiane szczerą eksplikacyą i zachwiać nie powinny ani na chwilę harmonii i współdziałania«

Ponieważ udało mu się zdobyć »nie jeden głos niemiecki dla naszego kandydata« hrabia-agitator dochodzi do przekonania, że heca antypolska »jest sztuczna«.

Wyobrazić sobie można, jak śmieli się z zadowolenia Niemcy katolicy, czytając te elukubracye nowo-objawionego męża stanu, dla których, jak słusznie powiada *Dziennik berliński*, byłoby najwłaściwsze miejsce w »kąciku humorystycznym«.

Ponieważ jednak hr. Mielżyński nie tylko jest z urodzenia przewódcą narodu«, ale i energicznym i zręcznym agitatorem, więc jego niedorzeczne poglądy łatwo mogą stać się programem poznańskich mężów politycznych. To, że owe poglądy są niedorzeczne i śmieszne, nic a nic im nie zaszkodzi — przeciwnie.

Bodajby po tem kompromitującem trochę ich przezorność doświadczeniu demokraci poznańscy przestali szukać inteligencyi politycznej u hrabiów młodych czy starych.

W innem miejscu mówimy o rezultatach wyborów galicyjskich, tu zaznaczę tylko kilka ich rysów znamiennych.

Zasługuje na uwagę fakt, że po walce wyborczej i ci, co w niej widocznie zwyciężyli, i ci, co ją przegrali, są jednakowo dobrej myśli. Za pomocą arytmetyki wyborczej, która jak każda operacya statystyczna ma tę zaletę, że za jej pomocą wszystkiego dowieść można, obie strony

przypisują sobie zwycięztwo. A więc np. z *Kuryera lwowskiego*, który nazajutrz, po wyborach zamieścił artykuł o porażce stronnictwa ludowego pod tragicznym tytułem „pogrom“, dowiadujemy się po upływie kilku dni, że wybory z V kuryi »równają się najkompletniejszej klęsce kliki konserwatywnej«.

Ma się rozumieć, i rachunek ścisły po wyborach z IV kuryi musi dać ten rezultat.

Dobrze, klika konserwatywna poniosła »najzupełniejszą klęskę«, ale jeżeli są pobici, to powinni być zwycięzcy. Któż więc zwyciężył.

W kuryi V w r. 1897 wybrano 10 członków Koła, teraz 9 tylko, więc to jest porażka.

Ale wybrano wówczas jednego ludowca, drugi zaś przeszedł później przy wyborze uzupełniającym. Teraz ani jeden nie przeszedł i padł niewątpliwy przewódca stronnictwa. więc ono chyba nie zwyciężyło.

Rusini stracili jeden mandat, socyaliści również — i ci tedy nie są zwycięzcami.

Ano, to zapewne stojałowczycy. Istotnie mieli z tej kuryi jednego posła, teraz przeprowadzili trzech, a w kuryi IV stracili na czysto jeden okręg, i księdza prałata, przewódcę stronnictwa, utrącono. Ks. Stojałowski śmieje się zapewne z goryczą, czytając te wypracowania statystyczne, z których wynika, że on jest zwycięzcą.

Zapytać trzeba, jaki cel mają te wyliczania, te arytmetyczno-sofistyczne łamańce, które nikogo przekonać nie mogą. Porażka w walce uczciwie prowadzonej, nie hańbi, po cóż więc narażać się na śmieszność ukrywaniem jej za pomocą takich sztuczek. Upadek ks. Stojałowskiego jest jedną z licznych niespodzianek, w jakie obfitują wybory galicyjskie. Twierdzono zawsze i myśmy to powtarzali, że jest on jedyną siłą stronnictwa. Tymczasem chłopi kandydaci tego stronnictwa, między nimi tacy nawet, jak skompromitowany nałogowem pijaństwem Szajer, z tryumfem przechodzą, a Stojałowski, który w dwóch okręgach kandydował, w obu został pobity przez współzawodników, nie wykazujących ani szczególnych zdolności, ani zasług politycznych. Konserwatyści byli pewni, że Stojałowski zdobędzie oba mandaty i zaręczają, że bynajmniej nie starali się go zwalczać, bo obiecał przecie wstąpić do Koła polskiego.

Podobnie jak w roku 1897, było obecnie mnóstwo, bodaj nawet więcej kandydatur chłopskich, znaczna zaś ich liczba nie miała żadnych widoków powodzenia. Można z wszelką pewnością powiedzieć, że większość ich była wynikiem rozbudzonej ambicyi chłopskiej lub chęci pobierania 10 guldenowych dyet. Ta mnogość kandydatur chłopskich świadczy, 1) że stronnictwa ludowe nie mają karnej organizacyi, któ-

r aby trzymała na wodzy ambicye osobiste, a nawet tak są słabe, że, muszą się z temi ambicyami liczyć; 2) że nie umiały dotychczas, lub nie chciały znaleźć sobie odpowiednich przedstawicieli wśród inteligencyi; 3) że niektórzy przewódcy stronnictw, jak np. Stojałowski wolą mieć posłów chłopów, którzy im bezwzględnie ulegają..

Teraz ci włościanie, zarówno ludowcy jak stojałowczycy, wybrani do Rady państwa, są zupełni bezradni. Nie mają pojęcia, nawet ci, którzy byli posłami, o rutynie parlamentarnej, nie znają dostatecznie języka niemieckiego. W Sejmie daliby sobie radę, w Wiedniu los ich będzie godny pożałowania. Jeżeli wybory miejskie nie dadzą chociażby jednego takiego posła-demokraty, który mógłby przynajmniej tej biednej gromadce dobrą radą służyć, posłowie chłopi mają tylko dwie drogi przed sobą: albo wstąpić do Koła, albo złożyć mandaty.

W ogóle pomysł stawiania kandydatur chłopskich do Rady państwa jest niewłaściwym, byłyby one i to częściowo wtedy tylko odpowiednie, gdyby stronnictwa ludowe miały tam liczną i poważną reprezentacyę.

Ale nie można się dziwić chłopom, że trafia im do przekonania hasło: wybierajmy tylko swoich, skoro inteligentni demokraci galicyjscy nie doszli jeszcze w swym rozwoju politycznym do tej zasady, którą już w XVI wieku jasno sformułowali ówcześni reformatorzy szlacheccy, że poseł nie jest przedstawicielem swego okręgu, ani swych wyborców lecz jest przedstawicielem całej Rzeczypospolitej. Ta zasada, powiedzmy ta fikcya prawno-polityczna jest powszechnie przyjętą, tylko w Galicyi nawet rozumni i wykształceni posłowie w przemówieniach przedwyborczych kładą zawsze nacisk szczególny na sprawy swego okręgu A wyborcy nie dbają często o barwę polityczną kandydata, troszcząc się tylko o to, czy potrafi on co zrobić dla spraw miejscowych. W Krakowie, stolicy kraju, ci rzemieślnicy i przemysłowcy, którzy dotychczas należeli do obozu demokratycznego, popierają kandydaturę fabrykanta zachowawcy, bo chcą mieć przedstawiciela swego stanu. Zdarzyło się nawet iż w jednym okręgu wystąpił jako kandydat organista Ciepielowski, za którym poważnie przytaczano ten argument, że stan organistów nie ma a powinien mieć w Radzie państwa swego przedstawiciela.

Kończę, bo nie chcę narazić się *Naprzodowi*, który pompatycznie orzeka, że »kto jest objektywnym (a tymbardziej ironicznym) wtedy, gdy wzburzenie i żal ściska serce każdego uczciwego człowieka, ten nie ma serca dla cierpień ludu«.

Niestety, czytając przez trzy miesiące wieści o ohydnych nadużyciach, przekupstwach i szwindlach wyborczych" boleję nie tylko nad cierpieniami ludu, ale i nad jego nieudolnością, nad panującą wśród

niego demoralizacyą. Przemocy często oprzeć się nie można, ale przekupstwo jest przecie zawsze tranzakcyą dobrowolną, a najlepszem na to nadużycie lekarstwem jest — nie dać się przekupić.

Nie tylko jednak nad tem boleją, lecz i nad tem, że oprócz gwałtu i przekupstwa używano innych, równie występnych sposobów agitacyi: oszczerstwa, fałszywych denuncyacyi i rozbijania zebrań itp. Jeżeli nie wszystkie stronnictwa opozycyjne, to z pewnością socyaliści tymi środkami szafowali.

Nie trzeba pozwalać żalowi »ściskać serca«, bo to zdrowiu szkodzi, ale trzeba samemu mieć czyste ręce i czyste sumienie, kiedy się od innych czystości wymaga.

Od kilku lat słyszeć można mniej lub więcej umotywowane zapewnienia, że masy ludowe w Galicyi dojrzały do czynnego udziału w życiu politycznem, do świadomego, samodzielnego decydowania o swoich sprawach. A jednocześnie po każdej porażce rozbrzmiewają narzekania i dowodzenia, że gwałty, szwindle i przekupstwa decydują o rezultacie wyborów w całym kraju. Albo jedno albo drugie z tych twierdzeń nie jest słusznem. Albo może i w jednem i w drugiem jest trochę prawdy i trochę przesady.

J. L. Jastrzębiec.

KRONIKA.

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

== W ostatnim zbiorze rozkazów i rozporządzeń generał-gubernatora warszawskiego. podpisanych w zastępstwie Imeretyńskiego przez p. Podgorodnikowa, znajdujemy następujące wyroki:

Na przedstawienie gubernatora siedleckiego, »włościanie wsi Kryczew powiatu konstantynowskiego, Filip i Roman Barmoszowie za to, że urządzali w swym domu zebrania religijne dla opornych byłych wyznawców grecko-unickiego obrządku, skazani zostają każdy na 25 rubli kary, na wypadek zaś niemożności jej zapłacenia, każdy na areszt dwu tygodni.“

Julian Sierakowski, właściciel wsi Cześniki, jak to przedstawił gubernator lubelski, wbrew rozporządzeniom zabraniającym używania prawosławnych robotników do pracy polnej w dni prawosławne świąteczne, nie pomny na przestrogę sołtysa (!) dopuścił, że w dzień »tabelnyj« (galówka) użyto u niego przy robotach polnych najemników prawosławnych, b. greko-unitów, — skazany zostaje na 50 rubli kary.

Na taką samą karę za takież przewinienie skazani zostali nadto: pp. Tadeusz Kiciński, właściciel Starego Sioła, pow. hrubieszowskiego, gub. lu-

belskiej (raz już przedtem karany) Antoni Gniazdowski, we wsi Perespa, pow. tomaszowskiego, gub. lubelskiej (25 rubli) i Jadwiga Kurcowa, wieś Żylin w pow. chełmskim tejże gubernii.

Wyroki, skazujące obywateli ziemskich za rzekome »zmuszanie prawosławnych« do pracy w dni świąteczne lub galowe, stają się coraz częstszymi.

== Korespondent warszawski *Czasu* donosi, że na opróżnioną wskutek ustąpienia p. Gawalewicza posadę kierownika osławionego »teatru ludowego« jest aż 5 kandydatów, między nimi zaś znajdują się tacy, którzy wczoraj jeszcze postępowanie p. Gawalewicza słusznie piętnowali Nie powtarzamy wymienionych w korespondencyi nazwisk, bo nie przypuszczamy, żeby ludzie, przeważnie dotychczas przyzwoici pod względem politycznym, gotowi byli dla marnego zysku lub przyjemności zakulisowych popełnić taką nikczemność, jaką jest dopomaganie rządowi w jego planach demoralizowania ludu polskiego.

== Mieszkańcy Nowogródka i powiatu nowogródzkiego robią często wycieczki do Switezi i w lesie, przyległym do jeziora, wycinają na korze drzew napisy polskie, daty i nazwiska. Napisy nie zawierały w sobie nic przeciwpaństwowego, jednakże władza miejscowa poleciła obedrzeć drzewa z kory, bo na Litwie umieszczanie wszelkich napisów w języku polskim jest zabronione.

Goniec polski donosi, że polecono rozbić na żwirówkę pamiątkowy kamień w dolinie kowieńskiej, na którym lubił siadywać Adam Mickiewicz. Sądzimy, że ta wiadomość dotyczy t. zw. »kamienia filaretów«, olbrzymiego głazu narzutowego, znajdującego się w Tuhanowiczach, w Nowogródzkiem.

— *Dziennik Polski* donosi, że z Sybiru uciekł szczęśliwie p. Stanisław Kędzielski. Skazany był — wedłng brzmienia wyroku kijewskiego sądu wojennego, z dnia 13. sierpnia 1894 — „z powodu rzekomego należenia do tajnego stowarzyszenia, dążącego do obalenia istniejącego rządu rosyjskiego w ziemiach polskich i odłączenia tychże od Rosyi itd.“ na 13 lat ciężkich robót w katorgach nerczyńskich. Tam też przecierpiał 6 lat, aż wreszcie zdołał szczęśliwie zbiedz. Obecnie bawi we Lwowie.

O sprawie p. Kędzielskiego (właściciela hotelu czy restauracyi w Podwołoczyskach) pisaliśmy niedawno, z powodu podanej w pismach wiadomości, że żandarmi zwabili go podstępnie na terytoryum rosyjskie i tam aresztowali. Niektórzy przyjaciele p. Kędzielskiego twierdzili nawet, że żandarmi rosyjscy schwycili go już na gruncie galicyjskim, rząd zaś austryacki, jakkolwiek był o tem powiadomiony, nie protestował wcale.

Pochodnia warszawska w ostatnim numerze przytacza liczne przykłady okrutnego i bezprawnego obchodzenia się władz rosyjskich z poddanymi austryackimi. »Przypatrzmy się, jak rząd rosyjski postępuje z poddanymi austryackimi, naturalnie Polakami! Paszport wydany »w imieniu Najjaśniejszego Franciszka Józefa I« nie ma tu najmniejszego poszanowania, nie zabezpiecza ani osobistej wolności, ani swobody poruszania się, ani nie chroni od najdzikszych nadużyć ze strony władz. Poddany austryacki jest tu tylko

tolerowany. Można go każdej chwili, bez powodu wydalić, uwięzić, nawet katować.

»Oto dwa najświeższe przykłady. Zamieszkały w Warszawie od lat 25 Władysław Łatkiewicz, Krakowianin, dyrektor jednej z najpoważniejszych fabryk warszawskich, znany powszechnie ze swej lojalności, został w nocy napadnięty przez żandarmeryę. Przewrócono mu dom do góry nogami i nic nie znalazłszy, osadzono go w cytadeli. Trzymano go tam przez dziesięć dni, nie pytając przez cały czas literalnie o nic i nie tłómacząc powodu napaści i uwięzienia. Uwolniono go tylko dzięki osobistym jego szerokim wpływom; dodać trzeba, że uwięziony jest przewodniczącym stowarzyszenia obywateli austryackich w Warszawie.

»Wypadek ten jest jednak tylko miniaturą strasznych gwałtów, jakich dopuszczała się policya w Janowie lubelskim względem poddanego austryackiego, Chorążego, deklamatora-monologisty. Napadła go w restauracyi i po najdzikszych obelgach, na jakie tylko stać język rosyjski i po obiciu czapką po twarzy zamknęła go spazmującego i wołającego o pomoc w izbie restauraayjnej, którą opróżniono z widzów i świadków. Dochodziły z niej tylko jęki nieszczęśliwego i straszne przekleństwa i obelgi strażników. »Ja cię zabiję, ty psie austryacki, ty tu zdechniesz, tu nie Austrya, tu ruskie imperium«. Tak wrzeszczał pijany przedstawiciel cara! Uwolniono go na drugi dzień, naczelnik go podobno przepraszał za gwałty »mużyka« i na tem koniec!

»Podobne zdarzenia nie są wyjątkowe; powtarzają się one prawie systematycznie. Czyż w podobny sposób ośmieliłyby się rosyjskie organa rządowe postąpić z poddanym niemieckim lub angielskim?!

»A te strzelaniny do poddanych austryackich na granicy, te szykany, na jakie bez przyczyny narażeni są oni na komorach rosyjskich? Gdzież tu godność Austryi, gdzie opieka prawa, jaką każde państwo winno swym poddanym za granicą? Gdzie wreszcie gwarancya traktatu wiedeńskiego, zabezpieczającego Polakom swobodę pobytu i opiekę prawną we wszystkich trzech zaborach bez względu na granice podziałowe!«

Z ZABORU PRUSKIEGO.

— W Gnieźnie przy współudziale księży, wyłącznie ofiarnością Polaków stanął „Dom katolicki", w którym obecnie otwarto czytelnię. Otóż w tej czytelni, przeznaczonej dla ludności polskiej, bo Niemcy do niej nie uczęszczają, rozłożono dla użytku publiczności pisma polskie i niemieckie. „Niespodziewaliśmy się — pisze korespondent z Gniezna, żeby Zarząd za pieniądze polskie zamierzał utworzyć coś w rodzaju czytelni ludowych, jakie Imeretyński w Kongresówce wprowadził w życie. Niezawodnie nie dosyć inicyatorom niemieckiej nauki religii w szkole, przeto oddają gnieźnieński „Dom katolicki" na dalsze studya w celu zapoznania się z literaturą niemiecką".

— W Toruniu zasiadał na ławie oskarzonych księgarz Biengke pod zarzutem bankructwa. Miał on księgarnię w Chełmnie, która dawniej dawała mu dostateczne utrzymanie. Zapytany o przyczyny bankructwa, B. opowiadał, co następuje. Gdy powstała tam filia hakatystyczna wciągnięto i jego w wir

agitacyi antypolskiej. Jakkolwiek posiadał prawie wyłącznie klientelę polską, dał się nakłonić do dobitniejszego manifestowania swych uczuć niemieckich. I tak podczas uroczystości bismarkowskiej wystawił w oknie portret starego Bismarka i pięknie przystroił zielenią. Skutek był taki, że najlepsi jego odbiorcy dotychczasowi, polscy gimnazyaści, omijali odtąd jego handel. Wtedy za radą »pewnego duchownego« (?) ogłosił w polskich gazetach, iż do Hakaty ani do innego jakiego stowarzyszenia antypolskiego nie należy, To mu już atoli nie pomogło. Polskich odbiorców już nie odzyskał, a zraził sobie całą Hakatę i pozostające pod jej wpływem koła niemieckie. Odtąd też interes chromał, aż ostatecznie trzeba było ogłosić konkurs.

= W całem państwie niemieckiem odbył się pierwszego grudnia r. b. spis ludności, ważny z tego zwłaszcza względu, że w szemacie spisowym pomieszczono rubrykę języka, używanego w domu Z Prus Zachodnich i Górnego Ślązka donoszą o licznych nadużyciach agentów, którzy spisu ludności dokonywali. Zwłaszcza w powiatach kaszubskich agenci nie pozwalali podkreślać w odnośnej rubryce wyrazu *polnisch*, tylko wymagali, żeby podkreślano *kassubisch*. W innych znowu okolicach od osób, znających oba języki, żądali podkreślenia zarazem *deutsch* i *polnisch*. Na Ślązku dymisyonowanemu urządnikowi nie pozwolono podkreślić wyrazu *polnisch*, twierdząc, że b. urzędnik pruski nawet w domu musi mówić *deutsch*. *Gazeta Grudziądzka* zaznacza, że wiele osób, należących do ludności polskiej, nie zapisano wcale

= Przy powtórnych wyborach w okręgu babimojsko-międzyrzeckim kandydat polski p. Bernard Chrzanowski otrzymał 8719 głosów, konserwatysta Gersdorf 9666. Udział wyborców był większy niż przy pierwszem głosowaniu, wtedy bowiem oddano 17 870 kartek, obecnie zaś 18.274. Cyfry wykazują, że antysemici nie powstrzymali się od głosowania, przeciwnie, większość ich głosowała za konserwatystą. P. Chrzanowski otrzymał z górą 1000 głosów więcej wskutek energicznej agitacyi wśród ludności polskiej, antysemici, oraz ci katolicy niemieccy, którzy przy pierwszych wyborach głosowali na ks. Krzesińskiego, przysporzyli naszemu kandydatowi zaledwie paręset głosów.

= Rząd pruski nakazał zamknięcie wszystkich prywatnych szkół polskich w Berlinie, które mieściły się przy rozmaitych stowarzyszeniach polskich. Udzielano tam 2 do 3 razy w tygodniu nauki języka polskiego i początków historyi polskiej. Już oddawna czyniono w Berlinie wielkie trudności nauczycielom i nauczycielkom w prywizorycznych szkołach, początkowo jednak rząd zasłaniał się względami natury sanitarno-policyjnej, uważając niby budynki, w których dzieci polskie uczyły się rodzinnego języka, za nieodpowiednie. Obecnie zakazano wszelkich wykładów. W ostatnich czasach liczba tych szkół zmalała wskutek rozmaitych utrudnień z 14 do 8, ale i tego było rządowi za wiele. Wobec tego, że i prywatnie po domach zabronioino podobnie jak w Poznańskiem nauki języka polskiego, powstał w berlińskich kołach polskich projekt zapomocą książek i pism ulotnych podtrzymywania nauki języka polskiego.

Z GALICYI.

= *Czas* został niedawno skonfiskowany, co mu się od wielu lat nie zdarzało, za artykuł z powodu telegramu ministra, z nakazem odroczenia wyroku, skazującego p. Daszyńskiego na areszt za obrazę policyi. Ponieważ od wyroku drugiej instancyi niema apelacyi, *Przegląd* lwowski dowodzi, że p. Daszyński lub ktoś bez jego wiedzy (?) podał prośbę do tronu o ułaskawienie. *Naprzód* zbija dowodzenie *Przeglądu*, podając inną, czysto prawną przyczynę odroczenia wykonania wyroku.

= *Wiener Tageblatt* rozpisuje się szeroko o »polskiej omladinie« z powodu rzekomych zamachów na hr. Reya. Raz mieli złoczyńcy napaść na hrabiego w czasie powrotu jego z dworca kolejowego — drugi raz w mieszkaniu pod Sączem, gdzie pod pretekstem żądań podatku na cele narodowe rozbili kasę i unieśli pieniądze. Otóż obecnie hr. Rey z Przecławia piętnuje całą tę awanturniczą baśń na podstawie przymusowego § 19 mianem zwykłej mistyfikacyi. Pan Szeps nie daje jednak za wygraną i powołuje się na odnośne artykuły *Ruchu Katolickiego* i *Dziennika Poznańskiego* — a oprócz tego tajemniczo daje do poznania, że ma w tej sprawie własną policyę. Dzieje się to wszystko w imieniu „sympatyj“ dla Polaków, celem otwarcia im oczu na zgubny ferment.

W połączeniu z zamachem okocimskim zrobiła się z tego „polska omladina“. Ciekawa rzecz, czy ten cel miały jawnie niedorzeczne insynuacye i oszczerstwa pism ugodowych?

= Miasto Lwów wydaje na szkoły, przeważnie ludowe, i wogóle na oświatę 1.209.224 koron, co stanowi blisko 25 procent całego rozchodu. Wartoby porównać tę cyfrę z odpowiednią rubryką w budżecie Warszawy, mającej prawie 5 razy więcej ludności niż Lwów.

= W numerze poprzednim zamieściliśmy wziętą z dzienników, krótką wiadomość, że *Naprzód* został skonfiskowany za artykuł p. t. „Każdy Polak — to świnia“. Nie przypuszczaliśmy, żeby ta ściśle faktyczna wzmianka mogła być fałszywie tłómaczoną. Jeden wszakże z przewódców socyalistycznych p. Mokłowski zwrócił nam uwagę, że czytelnicy nasi w zaborze rosyjskim, którzy nie znają artykułu *Naprzodu*, mogą sądzić, iż sensacyjny tytuł wyraża opinię tego pisma Ponieważ nigdy nie walczymy insynuacyami i oszczerstwami nawet z przeciwnikami, którzy sami tych sposobów polemiki używają, zaznaczamy chętnie, że skonfiskowany artykuł był bardzo ostrem i gwałtownem potępieniem jakiegoś oficera, który użył wyrażenia, dosłownie przytoczonego w tytule artykułu.

= W artykule p. t. »Nędza szkolnictwa galicyjskiego« *Nowa Reforma* daje ciekawe porównanie Galicyi z Czechami. Szkół rolniczych (licząc leśną i ogrodniczą) mamy 16, t. j. 2 wyższe, 2 średnie i 12 niższych.

»Jakże mizernie wygląda nasze szkolnictwo rolnicze w porównaniu z takiemi np. Czechami, które mają 63 szkoły tego rodzaju, lub nawet z Morawami, które posiadają 40 szkół rolniczo-gospodarczych. W Czechach są 2 szkoły mleczarskie, 2 sadownicze, 1 piwowarska, 5 dla nauki gospodarstwa

kobiecego — u nas tego wszystkiego brak. Najgorzej zaś przedstawiają się nasze niższe szkoły rolnicze. Cóż znaczy 10 szkół włościańsko-gospodarczych na kraj tak rolniczy, jak Galicya! Czechy mają ich dla swoich włościan 42, Morawy 31 — nasz Sejm natomiast zdobył się aż na 10 szkół rolniczych dla pięciomilionowej ludności wiejskiej i małomiejskiej naszego kraju!«

	Czechy:	Galicya:
Szkół ludowych i wydziałowych	5618	3905
Gimnazyów rządowych i prywatnych	56	31
Realnych szkół rządowych i pryw.	26	6
Seminaryów nauczycielskich rząd.	18	12
Przemysłowo-fach. rządowych	23	6
Rolniczych rządowych i krajowych	63	16

»Jeżeli weźmiemy w rachubę tylko same rządowe zakłady, to okaże się, że Czechy mają gimnazyów o 19, szkół realnych o 17, seminaryów nauczycielskich o 6, wreszcie szkół przemysłowo-fachowych o 17 więcej niż Galicya, czyli że Galicya posiada o 59 szkół rządowych mniej, niż kraj o trzecią część co do obszaru, a blizko o $^3/_4$ miliona co do ludności mniejszy od naszego

»Kraj, którego reprezentanci byli dotychczas najwierniejszymi sprzymierzeńcami każdego rządu, posiada wszystkich szkół rządowych — nie wyłączając szkół akademickich — prawie tyle, ile wynosi sama nadwyżka szkół w innym mniejszym kraju, którego posłowie odmienną zwykle politykę uprawiali. Tak się to dziwnie plecie na tym tu świecie — politycznym!«

Dodać jednak trzeba, że w porównaniu z Królestwem Galicya jest znakomicie uposażoną w różnego rodzaju szkoły i jej nędza szkolna wydawać tam może zbytkiem.

== Kandydaci, zwłaszcza w V kuryi dla zyskania głosów używali nieraz wprost występnych i oburzających sposobów agitacyi. Pierwszeństwo należy się p. Breiterowi, którego lwowscy agitatorzy roznosili czerwone kartki niemieckie, tłustym drukiem oznajmiające, że Breiter będzie jedynym posłem z Galicyi, który żydów zarówno z Polakami i Rusinami uznaje za indywidualność narodową, za równouprawnioną narodowość (*gleichberechtigte Nationalität im Lande*) w kraju. Po gminach zaś powiatu lwowskiego głoszą agitatorzy Breitera, że Breiter jest radykalnym antysemitą, i że będzie bronił chłopów przed żydami.

== Dogorywający *Ruch katolicki*, którego wypierają się dziś jego założyciele, rzucił nikczemną potwarz na p. Gerzabka, kontrolera skarbu w Tarnowie, oskarżając go o »wstrętną zbrodniczą robotę«, specyalnie zaś o urządzenie w swem mieszkaniu „ołtarza Mickiewicza", za pomocą którego „elektryzował" młodzież i stał się jednym z „intelektualnych sprawców" zamachu na p. Götza w Okocimie. Pod pozorem, że śledztwo sądowe nie jest ukończone, *Ruch katolicki* odmówił p. Gerzabkowi umieszczenia sprostowania, wykazującego, że w streszczonych wyżej insynuacyach nie ma słowa prawdy.

Dodać trzeba, że p. Gerzabek jest urzędnikiem państwowym i że potwarcza insynuacya miała na celu skompromitowanie go wobec władzy.

Doprawdy, wobec p. Zawadzkiego, redaktora *Ruchu*, nawet p. Piltza może się wydawać przyzwoitym człowiekiem.

Z KRESÓW.

— *Orędownik*, którego redaktor, p. Szymański objeżdżał niedawno powiaty kresowe babimojski i międzyrzecki, pisze, że ludność w tamtej okolicy jest zamożna, pracowita i trzeźwa. Domy włościańskie murowane wyglądają jak wille podmiejskie. Wielu Polaków osiedla się w sąsiedniej Brandenburgii.

Wioska Kesseldorf, już w Branderburgii, ma 5 gospodarzy Polaków, a tylko 2 Niemców. Okupują się na parcelach w Kalasinie (Götzęn), w Smolnie Wielkiem i Małem, (Schöllen Gr. i Kl.) Okupują się na całem pograniczu od Kargowy aż poza Dąbrówkę, pod Zbąszyniem i ztamtąd przychodzą do parafii polskich chrzcić się, brać śluby, spowiadać się i grzebać się.

— W Mikulczycach, na Górnym Ślązku zaprowadzono niedawno kazania niemieckie. Ludzie, posłyszawszy z ambony mowę niemiecką, zaczęli wychodzić z kościoła, ale proboszcz zagroził im karami duchownemi i nakazał słuchać kazania.

— W Bytomiu została założona polska spółka parcelacyjna, zorganizowana na wzór istniejących w Poznańskiem. Zadaniem spółki będzie nabywanie ziemi i parcelowanie większych obszarów w celu wzmocnienia klasy gospodarzy Polaków.

— W Bytomiu, w myśl uchwał wiecu, o którym pisaliśmy w poprzednim numerze, utworzone zostało »Towarzystwo imienia ks. Engla« celem szerzenia elementarzy polskich. Komitet chętnie się zgodził na to, żeby nowe towarzystwo nazwać imieniem niedawno zmarłego ks Engla, dla upamiętnienia działalności tego zacnego kapłana i patryoty. Z powodu przysłanego na wiec bytomski telegramu ks. Skowrońskiego z Ligoty pod Białą, pisma niemieckie podniosły hałas, sądząc, że jest to ksiądz galicyjski. Biała, w której pobliżu mieszka ks. Skowroński, leży na Górnym Ślązku i nazywa się po niemiecku Züzl, o czem hakatyści nie wiedzieli.

— *Nowiny raciborskie* przeszły na własność wydawnictwa *Katolika*. Słyszeliśmy, że to wydawnictwo zamierzało nabyć i *Gazetę opolską* i nadać wszystkim mniejszym pismom jednolity charakter gazetek czysto miejscowych, natomiast zwiększyć ich liczbę. Ze względu na to, że *Katolik* reprezentuje kierunek pojednawczy w stosunku do Niemców katolików i bardzo słabo wyraża dążenia narodowe polskie, monopol tego wydawnictwa byłby niewątpliwie szkodliwy dla sprawy odrodzenia narodowego Górnego Ślązka.

Z WYCHODZTWA I KOLONII.

— Wyszła znowu hakatystyczna broszura, która obliczyła ludność polską w Westfalii i Nadrenii. W r. 1860 spisano tam Polaków 9800, w roku

1893 było już samych górników 17919, razem z kobietami i dziećmi 54830 Polaków. W ciągu następnych 3 lat już się tam liczba Polaków podwoiła, bo w r. 1897 było samych pracujących górników polskich 34361, w r. 1898 było ich 50556, a z kobietami i dziećmi 154600. Przy ostatniem liczeniu dnia 1 stycznia 1900 naliczono polskich górników prawie 70 tysięcy, bo 69376. Prócz tego pracowało jeszcze po hutach i fabrykach 5000 Polaków. W całym okręgu górniczym naliczono z kobietami i dziećmi 254940 Polaków, których mową ojczystą jest język polski. Jeżeli z tego odciągnie się ludzi z mieszanych małżeństw i dzieci, mówiące dwoma językami, to pozostanie zawsze w tym okręgu 200 tysięcy Polaków, którzy mówią tylko po polsku. Z pracujących górników przypadło na Górny Ślązk 6282, na Księstwo Poznańskie 26640, na Prusy Zachodnie 8086, na Prusy Wschodnie 30940. W ostatniej cyfrze było samych Mazurów 30 tysięcy. Dalej oblicza ów hakatysta, że w obwodzie regencyjnym Arnsberg jest 72 towarzystw polskich, w obwodzie monasterskim 14, dysseldorfskim 60 towarzystw, które zawsze w niedzielę odbywają swe zebrania. Członków liczą te towarzystwa 8 tysięcy. Śpiewają tam polskie narodowe piosnki, skarżą się na prześladowanie narodowe, na brak polskich księży i szerzą »agitacyę wielkopolską«. Tylko 30 tysięcy Mazurów, którzy są ewangelikami, trzymają się zdala od „wielkopolskiej agitacyi".

═ W księztwach turyngskich władze miejscowe zabroniły odprawiania nabożeństwa dodatkowego dla robotników obcokrajowych w języku polskim i czeskim, czterech zaś księży Polaków i Czechów wydalono jako uciążliwych.

Z OBCEGO ŚWIATA.

═ We Wrocławiu kobieta obłąkana, nazwiskiem Zelma Schnapke, rzuciła siekierą na przejeżdżającego powozem cesarza Wilhelma, który tak się przeraził, że strasznie zbladł i przez jakiś czas słowa przemówić nie mógł. Ochłonąwszy z przestrachu i zrozumiawszy właściwy charakter zamachu, Wilhelm II wyraził życzenie, żeby temu czynowi waryatki nie nadawano poważnego znaczenia. Innego zdania był widocznie arcybiskup Stablewski, który nakazał odprawianie we wszystkich kościołach modłów dziękczynnych za ocalenie cesarza. Dla właściwego scharakteryzowania zarządzenia arcybiskupa Stablewskiego trzeba dodać, że niektórzy biskupi niemieccy nie nakazywali odprawiania modłów dziękczynnych.

═ Jerzy Brandes donosi w *Politiken* (wychodzi w Kopenhadze) o swojej rozmowie z pewnym rosyjskim mężem stanu, który twierdził, że w Rosyi powszechnie wiadomo, iż zmarły minister spraw zagranicznych, hr. Murawiew, popełnił samobójstwo. Powodem była okoliczność, że car nie zgadzał się na jego plany wojownicze wobec Anglii.

Gospodarz, kalendarz dla ludu polskiego. Nakład „Wydawnictwa groszowego imienia T. Kościuszki.

Najlepszy niewątpliwie z tanich, ludowych kalendarzy, *Gospodarz* zjawił się znowu w r. b. W roku zeszłym wyjść nie mógł, ponieważ wydawca jego p. K. Wojnar siedział w cytadeli. Ze względu na uczciwą tendencyę i obfitą treść kalendarz ten zasługuje na najszersze upowszechnienie między ludem nietylko w Galicyi, ale w innych zaborach. Radzilibyśmy nawet p. Wojnarowi, żeby na rok przyszły przygotował trzy wydania oddzielne z jednakową treścią ale z odpowiednim dla każdego zaboru działem informacyjnym. Oprócz pogadanek rolniczych i popularno-naukowych *Gospodarz* zawiera sporo artykułów historycznych oraz poezyi i powiastek Konopnickiej, W. Orkana, W Żmudzkiego, Żeromskiego i t. d. Życiorysy Jeża i Sienkiewicza, (z portretami), wreszcie artykuł p. Wojnara „Sprawa polska i ludowa w dziewiętnastym wieku“ dopełniają treści. Kalendarz zdobi mnóstwo ilustracyj w tekście i w osobnych odbitkach na lepszym papierze, między innemi „Bitwa w Olszynce pod Grochowem“ Kossaka.

WYJAŚNIENIE.

Z powodu zamieszczonego w naszem piśmie w numerze listopadowym r. b. artykułu pt. »Haniebna gospodarka«, otrzymaliśmy dokładne i wiarogodne ininformacye, które nas przekonały, że podniesione w »Liście otwartym« p. J. Rychtera zarzuty, o ile dotyczą działalności Zarządu »Towarzystwa wzajemnej pomocy uczestników powstania 1863 r.« są nieuzasadnione i niasłuszne.

Dla braku miejsca poprzestajemy obecnie na tem wyjaśnieniu, szczegółowe zaś sprostowanie tych zarzutów, poparte cyframi i faktami, zamieścimy w numerze następnym.

Dodać tu jednak należy, że Zarząd Towarzystwa nie otrzymał wcale »Listu otwartego« p. Rychtera i o wydaniu tej publikacyi dopiero z naszego pisma się dowiedział.

SKŁADKI.

Otrzymaliśmy dla przesłania do Rapperswylu następujące kwoty na Skarb Narodowy:

Od p, D., za czytanie *Przeglądu Wszechpolskiego* rs. 5 w złocie,
Od Mikrocefala z Odessy rs. 3.
Od p. Trz. 1 kor. 20 gr. (za 2 miesiąze).

OD REDAKCYI.

W roku przyszłym *Przegląd Wszechpolski* wychodzić będzie nadal na dotychczasowych warunkach, w zeszytach 4 arkuszowych wydawanych po 15-ym każdego miesiąca.

Czytelnicy nasi wiedzą, że *Przegląd Wszechpolski* jest organem ściśle określonych dążeń i przekonań politycznych i społecznych. Niepotrzeba ich zapewniać, że tym dążeniom i przekonaniom pozostaniemy wierni.

Szanownych Czytelników, zalegających w opłacie prenumeraty za rok bieżący, prosimy o przyspieszenie uregulowania rachunku.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Dr. Tadeusz Dwernicki. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego